ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. **Poniedziałek 24 grudnia 1934 r.** **Nr. 53**

Adolf Nowaczyński

Szopka Warszawska 1916

W roku 1916-tym w Warszawie, podczas okupacji niemieckiej wolność prasy stała się kompletną fikcją. Wobec tego trzeba było powołać do istnienia prasę podziemną i wydawnictwa podziemne. Zajęło się tem grono młodych ludzi, pełnych poświęcenia i ofiarności, zdecydowanych do konsekwentnej walki tak z okupantami, jak i z ugodą germanofilską, wśród rodaków z miesiąca na miesiąc jak zaraza się rozszerzającą.

Publicystami, którzy stanęli wówczas na czele akcji antyniemieckiej byli przedewszystkiem ś. p. Andrzej Niemojewski oraz Adolf Nowaczyński. Nowaczyński współpracował stale w tajnie wydawanych i konspiracyjnie rozsyłanych „Wiadomościach Politycznych", a jawnie w dwóch kolejno pismach porannych, gdzie pisywał tak zwanym „językiem Ezopa" nowele i opowiastki („Michalscy", „Hodowla królików", „Wigilja Duszenki" etc.), po których „odcyfrowaniu" (po jakimś czasie) przez cenzurę niemiecką następowały represje, zamykania pism, rewizje, dwukrotne „hausaresty", zakazy drukowania itp.

Z literatury podziemnej największe powodzenie miała „Szopka" pod pseudonimem Halbana wydana przed Bożem Narodzeniem w r. 1916, a tuż po listopadowym dwóch cesarzy akcie. Na „Szopkę" składał się zbiór dwuchset tak zwanych „Meandrów" skierowanych przeciw tym cywilnym osobistościom, które zbyt zaawansowały się w ugodzie z pruską okupacją, przy wyeliminowaniu atoli tych, które organizowały polską siłę zbrojną. Kolportażem „Szopki" zajęła się młodzież narodowa, wobec tego zaś, że w przeciągu jednego tygodnia rozszedł się cały tajny nakład, „Szopkę" zaczęto przepisywać na maszynach i w ten sposób rozeszła się po całej Polsce. Egzemplarze drukowane stały się takiemi białemi krukami, że nie posiadają „Szopki" ani wydawcy, ani sam autor. Rzecz jasna, że niektórzy napiętnowani wpadli w istny szał i nie zawahali się denuncjować Nowaczyńskiego nawet przed władzami okupacyjnemi.

Ponieważ „Szopka" nie pozbawiona jest powrotnie... aktualności (mutatis mutandis), przeto dajemy z niej pewien dobór pominąwszy te wszystkie Meandry, które tyczyły się już zmarłych lub żyjących „nieboszczyków politycznych".

W danym momencie historycznym „Szopka" Nowaczyńskiego z r. 1916 dyskredytując w opinji publicznej rozgorączkowanych karjerowiczów i serwilistów spełniła wraz z innymi publikacjami głównie nieodżałowanej pamięci Andrzeja Niemojewskego bardzo ważne zadanie polityczne. W prasie niemieckiej szereg korespondentów warszawskich poświęcił jej dużo krytycznych (rozwścieklonych) komentarzy; „Berliner Tagblatt" zamieścił o niej głównie i o prasie i literaturze podziemnej cały artykuł wstępny.

Warszawa okupowana, dręczona, ogładzana, okradana, deprawowana, posępna, męczeńska dostała na Gwiazdkę roku 1916 prezent, dzięki któremu mogła znów zaśmiewając się zdrowo nabrać sił moralnych do dalszego oporu, do walki z „wyzwalającym" najazdem i wreszcie do definitywnego zwycięstwa.

REDAKCJA

Motto:

Przezacna powszechność! Nie sądź mnie Zoilem
Wiem, że paszkwil nie zdobi uczciwego pióra:
Ale kiedy ich całe życie jest paszkwilem,
Na które się prawdziwie ostrząsa natura.
Kiedy widocznie idą na Ojczyzny zgubę —
Ostrzegać choć paszkwilem mam sobie za chlubę.

Franciszek Zabłocki.

Kiedyś, gdy jeszcze była Republika —
jedną z najpierwszych w Europie potencyi,
Król, wysłuchawszy poważnych sentencyi
każdego z Rady, z Sejmu dostojnika,
wzywał do siebie starego Stańczyka,
by ten mu radził ze swej eksperyencji.
I tak bywało, że od eminencyj
i ekscelencyj głos tego laika
choć w nim licentia była poetica
zawierał więcej mózgowej esencji,
ratował losy państwa egzystencji,
w Polsce za czasów króla i Stańczyka.

Był kanclerz Rzeszy a nie wiarołomny,
Był Niemiec w ludożerstwie i syty i skromny,
Byli Prusacy zacni, a nie faryzeje,
Był patrjota polski, co znał Polski dzieje,
Był Rusin, co z Berlinem nie wchodził w kon- [szachty,
Był Żyd, co nie chciał brać Sarmacyi w pachty,
Był Litwin, który chętnie oddawał nam Wilno,
Był endek, który grzeszył odwagą cywilną,
Był galicjanin, co o „żelaznej koronie" nie marzył,
Był pepees, co Żydom oprzeć się odważył.
Że takie typy były, wszystko to być może,
Na razie ja je między akta pruskie włożę.

Podał Ci, Polsko Prusak swą dłoń
Na synów Twych cmentarzysku
Do zgody, bez zysku — — bez zysku.
Oto się teraz, Polsko, bacznie broń,
Bo albo lewą uderzy Cię w skroń,
Albo prawą zmiażdży w uścisku.

Na zamku warszawskim w Kolumnowej sali
zebrali się obersty, feldfeble i rathy,
komtury, oberszpicle, krzyżackie psom-braty;
tam spędzonym Polakom prędko odczytali,
jako w nagrodę za to, że biją Moskali
zamiast nahajek — będą odtąd brali baty.

W Belwederskim salonie, gdzie księżnej łowickiej
grywał Chopin, do prasy dziś przemawia retor:
że idea słowiańska dla Polski to nie tor,
na którym szczęście znajdzie. Klaszczą Icki
Beselerowi, mlaszcze ozorem Ł....cki.
W Belwederskim salonie germanicus fetor.

Dożyłem chwili, gdy na pomnik Mickiewicza.
przyjaciela Puszkina i twórcy „Grażyny"
żołdak pruski wbił sztandar i składał wa- [wrzyny,
a lud warszawski nie skrywał oblicza,
jeno z triumfem, w rożę Paszkiewicza
patrzał — — Warszawo, masz coś z Messa- [liny!

Chodź w me objęcia, panie Pieter,
(Es war ein Hohenzollern — Wetter)
Wygraliśmy, panie dziu, wielki los
(die ganze Hetze ging tadellos)
Brudziński, to panie wielki gracz,
(Was sprach der Kerl einen Quatsch?),
Moskale będą mieli bal,
(Stupid ist Bagage kolossal),
Co nie dał Moskal, daje Luter,
(Ein ganz famoses Kanonenfutter)
Mamy bądź co bądź wielki tuz
(Was nützen Verträge, wenn man muss!).

Dzięki prusackiej opiece
(Draussen ist dreckig Kott)
w każdej sali teraz wiece,
(Reden könnt ihr was ihr wollt).
niech tam sobie robią hece
(Zahlen musst ihr was ihr sollt).

Hosanna, Alleluja, Galówki, Pochody,
Gdzie wyjdziesz na ulicę, tam z kąta każdego
Idzie pochód i słyszysz mazur Dąbrowskiego,
Nawołują do broni -- do Niemców — do zgody —
Płacze z wzruszenia starzec, wrzeszczy gromko [młody.
Vivat, niech żyje Polska!...—a z czego, a z czego?

Makowiecky und Studnicky, Polen aus der [Polackei
W telegramie do cesarza dziękują za cały [kraj
Rządy bowiem Beselera, to dla nich obwie- [siów raj
Teraz zima, ale przyjdzie wunderschöner Mo- [nat Mai,
będą pakowali graty, jechali gdzie pieprzny [gaj
Makowiecky und Studnicky, Polen aus der [Polackei.

Jak Studnickiego nagrodzić Gizberta,
Raz Tiedemanna pytano z Jeziorek, —
Czy mu dać kaftan na głowę, czy worek, —
W Kolonizacji zajęcie eksperta?
I wtedy wtrąca się Tiedemann Berta:
„Geben Si Ihm Majorat aus „Tworek".

U nas w Poznańskiem nikt mu nie podawał [ręki
I każdy zwał go prosto z mostu renegatem,
choć u dworu był fiszem i personą gratem.
Teraz w Warszawie słyszę, renegacy dzięki,
Graf ze Smogolca zbiera powinszowań pęki,
Gdy wchodzi, młodzież polska wita go wiwa- [tem. —

Gdzie w dziejach Polski jest ciemna stronica,
Zaprzaństwo, zdrada, przekupstwo, niesława,
Z Prusem konszachty, marjaże, zabawa,
Jedno nazwisko tam zawsze przyświeca,
Tam zawsze stanąć winna szubienica,
W Keka znów przeszła dusza Bogusława.

Pytacie jak się ten genjusz uchował,
Jak się tak szybko wypsnął na sam szczyt,
I czy to chyba nie jest neofyt,
Ten Tausendküstler, Br.....ski konował.
Nie, — on się tylko zaasekurował
W Belle -- Aliance — Izraelite. —

W warszawskiej Alma Mater („a la fourchette")
Handelsman wykłada polskie dzieje,
Kleiner romantyzm w mózgi sieje,
Miejmy nadzieję, że już wnet,
I teologji nowy fakultet,
Obrzezi się i zżydzieje. —

Pewien pan Wernychory także na umyśle
Od niejakiego czasu ma humor wprost boski,
Krzyczy mi: Panie, Panie zbądź już wreszcie tro- [ski,
Będziemy mieli handel, co nam po przemyśle, —
Jest już flota, i nasza Aha.. co! Na Wiśle, —
I dowódcą jej Polak... Wie Pan? Posadowsky.

Teść między pierwsze liczy się lichwiarze,
Papa Szajlokiem jest naszej elity,
Stryjek do Fusztu szwarcuje kobity,
On się zalicza w nasze luminarze,
On miewa, jak mu nowy geszeft każe,
O polskiem państwie wodniste odczyty.

Rzymowski erotoman z facjatą goryla
marzył ongi, że będzie polskim Robespierrem,
i przemoc każdą palcem zwalczał w bucie i pa- [pierem
„Im Koncetrationslager" przyszła skruchy [chwila
Skruszonego puścili. Odtąd się przymila
pikelhaubicom, w Rosyę pluję, lecz jest zerem.

Gdy badam, kto w tych statystów plejadzie
wodewilowych sprężyną i osią,
kto chce, by Fausta pruskiego Małgosią
Polska została na tej ma - szkaradzie,
odkrywam, że... (tu śmiech pióro kładzie)
Piccolo caro Wojciech Roztworosio.

Aby doczekać tej zabawy końca,
jedni chcą Piasta, a drudzy chcą plastra,
a jeszcze inni (coprawda hałastra)
a mianowicie chul (i) gan z „Der Gońca"
wprost do Wilhelma tęsknią, jak do słońca.
Sic itur Varsoviae ad astra.

Gdzie w polityczne dziś apartamenta
wejdziesz, tam jeno usłyszysz lamenta,
że pan Beseler nie daje regenta.
O króla proszą polskie niemowlęta,
a pan Beseler tylko sam pamięta,
że dla regenta potrzebna jest renta.

Galicyjskie machery, szybery, sztrebery,
myśląc, że stadkiem wy błędnem z owczarni,
zaczęły zjeżdżać w warszawskie chambres [garnies,
nareszcie — pewnie i nie bez kozery,
że tu zabłysną, jak dwa a dwa cztery,
jako że z fachu stateczni i karni,
że z urzędniczej idą wylęgarni
i zawodowe są politykiery.
Tymczasem zawód. Bowiem atmosfery
lokalnej ani w ząb (trochę figlarnej).
Teraz, że „tacy są Polacy marni"
mówią z Galicji sztrebery, szybery.

O biedny, biedny c. k. N. K. N-ie!
Jakże to krótko trwała twa sielanka!
Jakże cię szpetnie zdradziła bogdanka!
Tyś nas sprzedawał już po kosztów cenie.
A Autricho triche i mówi na to, że: nie —
I w rezultacie w saldzie same manka.

Dawniej z Ignaca był typ pacyfisty,
na militaryzm urągał od rana.
A dzisiaj? Herr Gott, jakaż to odmiana!
Ignaś wychwala szablon Antychrysty
i szablą macha Pankrac! junkier isty!
Pachną mu, pachną bobki Scheidemana.

Dawniej szalała, kiedy Battistini,
Chłop, rosły, czarny, foremny i tępy,
łechtał belcantem kobiece zastępy.
Dzisiaj szaleje, awantury czyni,
Kiedy w Warszawie Ignac Rinaldini
Zjeżdża na swoje daszyńskie występy.

Zaiste niezbyt piękna jest dzisiejsza era
Pod hasłem Winkelżyda i Kordjana Parcha,
Nie mamy mężów godnych „Żywotów Plu- [tarcha",
Nie mamy bohaterów godnych La Bruyera.
Czasy „Margrafa Gero" Beselera
Godne są pióra: Plu parcha.

Po co to było na Moskali judzić
Młodzież sarmacką przez ten cały czas, —
By wreszcie znowu poszła sobie w las?
Hebreje! Teraz muszę was ostudzić,
Germański furor wszczyna się już budzić
I kozła sobie znajdzie, ale w was...

Choć Macchiavel berliński duszę polską łechta.
Chowa chytrze swe szpony, kły, pazury, różki,
Choć obiecuje głupcom gdzieś na wierzbie [gruszki
Stanęło Koło Polskie w obronie Liebknechta,
Rzuciło rękawicę w pysk butnego Knechta,
Kpiąc z słodkich słówek Knechtów i plując [w pogróżki.

A gdy rewolucja wybuchnie w Berlinie,
Lud wyjdzie „Unter Linden" z krzykiem [dość męczarni"!
Bataljonem też wyjdą grenadjerzy czarni.
I lejtenant. Ten tupnie, potem palcem skinie
I zaczną się rozchodzić (głód wolności minie)
Herrenvolk do piwiarni, Czarni do kasarni...

Wiele się daje zrobić bagnetami,
Palić Gandawy, Belgrady, Kalisze,
Bukareszt zdobyć i pławić się w pysze,
Nie da się jednak, przyznacie to sami
„Siąść na bagnetach", choć się jest Niemcami,
Jak słusznie Clausewitz pisze.

Nie wszystkie laury są trwałe i wonne,
Z jasnego nieba bije czasem grom,
Wali się zawsze z fałszywych kart dom.
Germanom trzeba śpiewać już podzwonne
Chcieli mieć „Platz an der Sonne"
A teraz „Es platzt an der Somme".

Uratowałeś honor Polski Styczyński Rejtanie!
Wykazując odważnie, jaki z ludem cel ma
Reinecke - Fuchs von Hollweg, perfidyjna szelma,
I bądź pewny, że kiedyś gdy dostanie lanie,
To w Poznaniu już polskim, obelisk twój stanie,
Tam, gdzie stoi bezkarnie dzisiaj łeb Wilhelma.

Połknęły łatwo pruskie czynowniki
Najistniejsze kubańskie bakterje
(Deutsche Redlichkeit hat einstweilen Ferie).
Biorą łapówki w biurach dostojniki,
Bakszyszem płacą wulgarne flirciki,
Łupią na ruski styl polską mizerję.

Tak „niepodległą Polską" (z łaski Beselerów)
Można być pewnym, i duch króla Fryca,
W piekle się smażąc, cieszy i zachwyca,
Bo z niej połapie Prusom gemeinerów,
Już nie wysłana rota grenadjerów
Lecz własna rodaków Lewica.

Jeśliś był na wojence i nie lada graczem,
Jeśliś był dzielny, dziarski i butny i bitny
Jeśliś był honorny, jeśliś był ambitny —
Ty nim będziesz i teraz w kraju! Zaczem
Nie zostaniesz polskiego chłopa feld-łapaczem
Mohorcie! ty spod Rokitny!

Ledwie się ledwie zbyli Mocha,
któremu brud lizali z nóg,
a już szukają nowych dróg,
mizdrząc się do Bier - Molocha —
twierdząc, że nikt tak nie kocha
nas, jak ten tysiącletni wróg.

Pięknie żeście nam z ulic warszawskich na- [reszcie
Eulenburga wyznawcy a cnotliwe Goty
zmietli porubstwo, ruję i dziewki - niecnoty.
Ale znów niepięknie z waszej strony, żeście
z mężczyzn zrobili w doboszonem mieście
swe polityczne kokoty.

Wdając się z szarlatanem berlińskim w amory,
zapomnieliście tylko o jednem: o chłopie,
który ma zdrowy instynkt i siły cyklopie.
A chłop ten nawet słuchać nie jest skory
o leku, który znoszą mu znachory,
O All - Heil - mittel - Europie!

Dali wam już orzełki, dali chorągiewki,
dali pochody, dadzą na Sejmie się kłócić
Państwowo się pod pruską pięścią bałamucić.
Byle wam grosz ostatni wydusić z sakiewki,
Byle do władzy doszły warszawskie Nalewki,
byle z miljon Polaków w paszczę Mocha [rzucić!

Pięknie mówił poeta, naród nasz jak lawa,
skorupa — która zawsze jakimś wrogom służy,
wrząc spodem, twardnie u carskich podnóży.
Pękła jednak skorupa zimna i plugawa,
teraz semicko - pruska już pękać się zdawa,
i czysty naród polski z głębi się wynurzy.

By tylko z Pitra dźwiękły pokoju akordy,
by wyciągnął ku Niemcom jeno rożek buta,
Barbar, — „lud panów" odpierzchłaby buta.
daliby sobie z dubeltówki mordy
i samby wpuścił tu kirgizkie hordy
prusak, dostawca rosyjskiego knuta.

Choć nas zwiecie Europą, a ich teraz Azją
choć nas przyjaźnią wieczną zamierzacie raczyć
choć nam chcecie broń rozdać i konie kulbaczyć,
to jednakże nam trzeba za każdą okazją
powtórzyć, że możemy z polską kurtuazją
czasami wam zapomnieć! nigdy nie przebaczyć!

Cokolwiekbyście złego o Moskwiczy
mówili, zawsze niezdarnie i mało,
Cokolwiek jednak jeszczeby się stało,
niech się z was każdy z tym pewnikiem liczy.
że niepodległość bez sankcyi tej dziczy
trwać może dobę — niecałą...

Kto powiedział, że Germanie
są to bracia nas, Sarmatów
temu wszystkie gnaty złamię
przed kościołem Reformatów.

Manifest dwóch cesarzów to Fetzen Papier,
który momento mortis dały dwa bankruty,
by mieć jedyne w ręce normalne atuty.
Uwierzyć weń? Za rok całą Polskę kir
żałoby okryje. A germański zbir
oczyści nim splamione krwią sarmacką buty.

O słodka Francjo, Joanno d'Arc ludów,
gdy bój świata z ohydą już będzie skończony
I gdy wybaczysz zdradę Polakom skruszonym.
gdy spłynie fala wszystkich obcych brudów
z Warszawy, stanie na pamiątkę cudów
twych „Verdun" na placu Zielonym.

Bóg da, że gdy odetchniem po wszystkich [tyranach,
straciwszy swe fantazje i narowy pańskie,
od Niemców weźmiem cnoty rzymskie [i spartańskie,
i stanie wonczas, choćby i w strzępach [i w ranach,
lecz już w „Europy Zjednoczonych Stanach"
Polska, królestwo Słowiańskie.

Będzie to może z wiosną albo w lecie,
Da Bóg, że dożyjem, a pewnego ranka,
zniknie pruski komendant, jak duch Banka,
a z nim to, co teraz rej tu wodzi — śmiecie —
Da Bóg burza wojenna to zmiecie
i zabrzmi z „Jeszcze Polska" jeszcze Marsyljanka.

L. Ciechanowiecka

Ojciec Leon

Najprzód coś w rodzaju bajeczki. Na ulicy mdleje człowiek. Robi się zbiegowisko. Wnoszą go do bramy. Jest bardzo lekki, przypomina raczej szkielet. W bladej twarzy ciemnieją sine powieki i głębokie bruzdy. Ludziska szarpią biedaka, przemawiają doń, wreszcie ktoś wzywa doktora. Djagnoza: — omdlenie z głodu.

I teraz zaczyna się komedja. Zastrzyk kamfory cuci głodomora. Na scenę występuje policjant. Padają pytania: — kto zacz, skąd pochodzi, do jakiej gminy należy. Czy ma kartę bezrobocia, dlaczego nie należy do ZUP-u i Kasy Chorych. Zjawia się skolei, jak w jasełkach pan z magistratu. Powiada, że nic pomóc nie może, bo człowiek nie jest zarejestrowany, papiery nie w porządku. Pan z ZUP-u również jest bezradny — „człowiek" nie ma prawa do zasiłku, bo nie był ubezpieczonym pracownikiem.

Wśród publiczności wywiązuje się dyskusja. Na scenę występuje kilku mądrych, dobrze odżywionych i dostatnio ubranych panów, którzy przyjrzawszy się głodomorowi powiadają, kiwając głowami:

— Kryzys, niewątpliwy przejaw kryzysu.

— Jabym radził zastosować inflację — odzywa się jeden.

— A ja od dawna zalecam deflację — odcina się drugi.

Jeden postanawia napisać książkę na temat tayloryzmu, inny twierdzi, że tylko racjonalizacja zaradzi złemu.

— Jestem zwolennikiem technokracji — powiada trzeci, w ferworze depcząc po nieszczęśliwcu.

— Należy nakręcać konjunkturę — wtrąca się nowy przechodzień.

— Co też pan mówi — odzywa się jakiś głos — gospodarka planowa, kierowana przez odpowiedzialne czynniki, to jedyne lekarstwo na bezrobocie.

— A co się stanie, jeżeli planowa gospodarka będzie źle kierowana?

I nagle, rozpychając tłum zbliża się niemłody człowiek. w czarnem wyświeconem palcie, spod którego widać szatę zakonną. Pochyla się nad głodomorem, uśmiecha się do niego, nie pyta o papiery, nie dziwi się dlaczego niema karty bezrobocia, ani legitymacji kasy chorych, lekceważy jego przynależność magistracką, państwową, rasową i partyjną, wlewa mu w usta herbatę, podaje kawał chleba, a potem zabiera biedaka ze sobą do ciepłej izby, gdzie na prymitywnym wiejskim piecu z okapem gotuje się zupa w kotle, a na ławach siedzą ludzie w łachmanach. Przemawia do niego, jak do najmilszego gościa, nie mówi mu, że że to już po godzinach biurowych, że powinien wrócić kiedyindziej i że będzie najprzód musiał wyrobić sobie odpowiednie świadectwa. Zapewnia go, że nie jest opuszczony i samotny, bo ma Boga w sercu i że nawet nędza nie jest straszna, gdy się kocha Chrystusa.

O tym dziwnym człowieku, którego przypadkiem spotkałam chciałabym dzisiaj opowiedzieć. Był kiedyś profesorem filozofji i prawa, przez lat 24 uczył innych filozofji, od lat sześciu wprowadza filozofję w życie. Uznaje jeden tylko system — doszedł do niego przez labirynt tysiącznych, zawiłych systemów. Streszcza się on w krótkiem zdaniu: — „miłuj bliźniego jak siebie samego". Uzupełnieniem tego lakonicznego, a jakże wymownego zdania jest jeszcze szereg wskazań i nauk, zawartych w niewielkiej książeczce, znanej ludziom od lat tysiąca, a tak zapoznanej.

Ojciec Leon zapewne pogniewa się na mnie zato, że o nim piszę w gazecie, gardzi bowiem wszelką reklamą, a chociaż dzisiaj mógłby pochwalić się dorobkiem niezwykłym, mało kto — poza rzeszą nędzarzy, straceńców, byłych ludzi, wyrzuconych poza nawias społeczeństwa — domyśla się, że w Warszawie mieszka znakomity ekonomista, wobec którego bledną najjaśniejsze gwiazdy ekonomji. Tamci w zaciszu komfortowych gabinetów, w obłokach wonnych cygar snują marzenia o walce z kryzysem i uszczęśliwieniu ludzkości, a pod ich oknami mdleją z głodu ofiary kryzysu.

Dowiedziałam się o istnieniu ojca Leona przypadkiem, ale gdy odwiedziłam go w klasztorze, na Karolkowej (jest redemptorystą, któremu pozwolono zajmować się pracą społeczną), to mi się jakoś wstyd zrobiło, że dopiero teraz dowiaduję się o człowieku, którego krwawa Wola nazywa „bratem Leonem", włóczęgi i nożowcy uważają go za najlepszego przyjaciela. Znają go mieszkańcy baraków, na Lesznie, Okopowej, w Polusie, w Annopolu, na Żoliborzu i w Syberji, gdzie przebywa element najtrudniejszy do ujarzmienia, ha, nawet w szpitalu żydowskim na Czystem i w przytułkach na Powiślu, ojciec Leon jest tak znany, jak ongiś Wincenty à Paulo, albo współczesny święty proboszcz z Ars.

Wiem, wiem... Nie on jeden pracuje „na niwie", dla biednych, są wspaniałe biura „racjonalnie" urządzone, rozjeżdżają po mieście limuzynami prezesowie filantropijnych instytucyj, w kuchniach magistrackich rozdaje się obiady, a żłobki bywają odwiedzane przez „małżonki" najwyższych dygnitarzy. Nie odmawiam im zasług, ale wątpię czy „filantropja w białych rękawiczkach" traktuje każdego nędzarza, jak rodzonego brata, czy oprócz chleba powszedniego daje mu talizman wiary, który zamienia posępną norę barakową na znośną przystań, wątpię czy owa filantropja potrafi urzędować w izdebkach, gdzie zamiast amerykańskiego biurka jest deska, na krzyżakach, zamiast krzeseł belki, na kołkach, zamiast elektrycznych żyrandoli — kopcące naftowe lampki.

Ileż to razy słyszymy żałosne skargi:

— Nie mamy pieniędzy na założenie przyzwoitej świetlicy, niema budżetu dla urzędników.

Stary zakonnik z Francji rodem (zresztą spolonizowany bardziej od Cazin'a, bo przebywa u nas zgórą lat trzydzieści), gotów jest urzędować w szopie, albo na ulicy, o ile zetknie się z nędzą „poza godzinami biurowemi" gdzieś na Nowem Bródnie, czy Lesznie. Niema funduszów na odpowiednie biuro? No, to niech będzie biuro nieodpowiednie. Wystarczy niska rudera, na Karolkowej, z wielką jak stajnia izbą, której głównym meblem jest piec kuchenny. Aby skądś dostać desek, to i ławki się sklecі i przepierzenie ustawi. które w razie czego zamieni się na scenę, gdy dla nakarmionych, rozweselonych biedaków urządzi się przedstawienie, czy kino. Niema friżiderów, ani kredensów. ale jest zwykła skrzynia, głęboka i szeroka — to spiżarnia, do której wrzuca się paczki żywnościowe, dostarczane przez dobrych ludzi. Każdy może usiąść na jednej z wielu ławek, w ogrzanej izbie, gdzie w godzinie obiadowej rozdaje się gorącą zupę i bochenki chleba, po jednemu dla każdego. Bywa że i czterystu głodnych się nakarmi. A potem z każdym z nich ojciec Leon rozmawia, jak z bliskim druhem, rad mu udziela, budzi w nim jakieś dawno zagasłe, spopielałe uczucia nadziei i wiary w wyższy cel człowieka.

Subsydja? Nikt na to nie liczy. Czynnikiem miarodajnym, bardziej niezawodnym od ziemskich instytucyj, jest Opatrzność. Niech mówią co chcą ubodzy duchem, racjonaliści, niech się śmieją z tego terminu. Jeśli wolą niech nazwą Opatrzność „Ojcem Atomów", albo wielkim „Znakiem Zapytania". Jedno jest pewne — ów Znak Zapytania objawia się w sposób iście cudowny.

— Nie — ja na nikogo nie liczę — powiada swoim przemiłym francusko polskim akcentem, ojciec Leon — nikogo nie potrzeba prosić, Opatrzność o nas pamięta. Bywa, że w spiżarni niema ani soli, ani kartofli, a w piwniczce ani kawałka drzewa. Ah, Seigneur, myślę sobie wtedy, co to będzie gdy przyjdą moi goście na obiad, a ja im będę musiał powiedzieć, niema nic, mes amis? I zawsze w ostatniej chwili coś się stanie, poprostu spadnie nam z nieba trochę manny niebieskiej, chleba czy mąki i problem jest rozwiązany.

Rzecz niesłychana. Cudzoziemiec, zakonnik, profesor prawa i filozofji zaskarbia sobie miłość i bezwzględne zaufanie prostaczków, którzy stracili wszelką wiarę w sprawiedliwość, a każdego kto do ich klanu nie należy uważają za osobistego wroga.

Wędrując od szeregu dni po Woli, po przedmieściach Warszawy, zwiedzając niezliczone oazy, założone przez „brata Leona", widziałam takie cuda o jakich się ekonomistom nie śniło. Widziałam ludzi, którzy od lat gnieżdżą się w posępnych barakach, podzielonych na klitki z tektury, podartych gazet i szmat, zbici w jedną żałosną gromadę, napastowani przez upiory głodu i zaraźliwych chorób, którzy, gdy im okazać przyjaźń, taką ewangeliczną przyjaźń, niepodobną do protekcjonalnej uprzejmości filantropów w białych rękawiczkach, gdy im oprócz chleba dać talizman wiary w Boga, stają się radośni, pełni optymizmu i bohaterskiej rezygnacji. O tych rezerwatach nędzy, które chytre społeczeństwo umieściło jaknajdalej od centrum miasta, jako że człowiek syty, organicznie nieznosi widoku nędzy zawszonej, zgłodniałej, patrzącej z niemym wyrzutem — pisać będę kiedyindziej. Dziś powiem tylko jedno — podziwiam anielską cierpliwość parjasów, którzy przeważnie nie z własnej winy, ale z winy ustroju stali się wyrzutkami społeczeństwa, chociaż niejeden z nich zasługuje na większy szacunek, aniżeli „dobrze wychowani" dżentelmeni wzbogacający się cudzym kosztem i dążący do celu po trupach.

I jeszcze jedno. Filantropja w białych rękawiczkach, zwiedzając baraki krzywi się na widok dzieci, które roją się w izbach, jak mrowie. I to w dodatku przeważnie dzieci nieślubne, „bękarty", jakby je określiła pani Dulska. Więc się daje mądre rady:

— Dobrzy ludzie, poco tyle tego? Czy nie słyszeliście o Malthusie, o doktorze Rubinraucie?

Oni na to:

— Wy macie dancingi, i teatry i kina — naszą jedyną rozrywką i pociechą są dzieci (autentyczne).

Otóż wystarczy wprowadzić w czyn system filozoficzny zwany Ewangelją, aby cała sprawa przybrała inny wygląd.

— Nieślubne dzieci — wzdycha brat Leon — poniewierane, pogardzane nieślubne dzieci... Jest jeden sposób, aby zaradzić złu. Poprostu ślub. Sądzicie, że rodzice nie pobrali się, bo niechcieli, bo byli zwolennikami życia ułatwionego? Bynajmniej. Ślub k o s z t u j e — oto wszystko. Więc niechże przestanie być kosztowny, powiada sobie ewangieliczny człowiek. Gdy przyjdzie do niego taka para, co od lat dwudziestu ze sobą żyje, a dzieciaków jest pięcioro, każde od innego ojca, a wszystkie skazane zgóry na tysiączne trudności i upokorzenia, no to się daje ślub darmo, i obrączki także darmo, ba nawet się wynajduje ubranie dla pana młodego i sukienkę dla panny młodej. Główny szkopuł stanowiły koszta weselne, bo jeśli chodzi o dzieci, to w tej zacnej społeczności nikt się nie waha przyjąć za własne kilkoro cudzych dzieciaków.

Do głowy nikomu nie przyszło, że trudny problem płatnych ślubów i chrzcin (w tej materji musi nastąpić kiedyś reforma) da się narazie również rozwiązać. Wystarczyło założyć kółko ludzi dobrej woli, co ze składek opłacają w danej parafji śluby i chrzty, brat Leon sprowadził z Francji zapas złotych obrączek, które rozdaje bezpłatnie, wyrabia własnym sumptem metryki i inne dokumenty, a potem po jakimś czasie dowiaduje się, ż u Felka Makolągwy, co „swoją" bijał, a dzieciaki wypędzał na dwór, wszystko się odmieniło, sąsiadki przestały dokuczać Felkowi, nikt już jej nie urąga, więc i z Felkiem święta zgoda.

Teraz się zdarza, że przychodzą do brata Leona z prośbą o chrzest tacy, co już trzydziestkę przekroczyli, nawracają się marjawici i hodurowcy (poszli tam, bo im darmo dano ślub...), do ołtarza idą osobliwe pary, które żyły latami ze sobą na wiarę, bo na ślub jak się patrzy pieniędzy nie było... I raptem taka odmiana — nietylko wesele, ale i obrączki i suknia panny młodej — wszystko za darmo. Takiej rewolucji jeszcze nie było. Zastrachane, zgonione, żyjące w wiecznej niepewności („czy aby mnie nie wygna razem z dzieciakami") Mańki, Stefki, Felki wychodzą z kościoła w jasnych welonach, które niosą za niemi dzieci nareszcie usynowione, uwolnione od piętna „dziecko ojca nieznanego". Można wierzyć, albo nie wierzyć na słowo, ale kto raz na własne oczy widział taką ceremonję, a potem miał sposobność rozmawiać z nowoutworzonemi stadłami małżeńskiemi, ten zrozumie, że i w tej dziedzinie prosty system brata Leona przyczynia się do radykalnej poprawy stosunków rodzinych i powoduje rewolucję w dobrem tego słowa znaczeniu.

Możnaby bez końca mówić o wyczynach osobliwego ekonomisty, który zamiast wymyślać nowy „sposób na kryzys", sięgnął po księgę sprzed tysiąca lat i z niej zaczerpnął wiedzy. Narazie, zanim powrócę do zagadnienia baraków, dodam kilka suchych cyfr, wymowniejszych od frazesów.

Robinsonowska chatka na Karolkowej, gdzie w ubożuchnej izbie krzątają się jasne anioły zwerbowane przez ojca Leona, może się pochawalić następującemi wynikami:

W ciągu zeszłego roku, od kwietnia, opiekowano się stale dwustu rodzinami bezrobotnych, a dorywczo trzystu, w świetlicach prowadzonych z drobnych składek — 50 dzieci otrzymuje pożywienie i pomoc w nauce, obiadów bezpłatnych wydano 55029, sztuk odzieży 800, znaleziono pracę dla 30 osób, okazano pomoc prawną 61 rodzinom, leczono 43 chorych, udzielono bezpłatnie 38 ślubów, zalegalizowano 27 dzieci, ochrzczono 44 dzieci, wyrabiano bezpłatnie dokumenty, przygotowano 25 dzieci do Komunji św. i dano im ubrania.

To nie wszystko. W założonych przez ojca Leona „oazach" pośród baraków, gdzie gnieździ się dwadzieścia tysięcy nędzarzy, prowadzi się świetlice dla setek dzieci, przedszkole, kursy szycia i gotowania. Rozdano 1500 ubrań, odwiedzono blisko cztery tysiące razy ubogie rodziny, ochrzczono 320 dzieci, zalegalizowano kilkadziesiąt dzieci nieślubnych, itd. itd. itd.

I to jeszcze nie wszystko. Bo człowiek, któremu przyświeca wiara w słuszność chrystusowej idei potrafi przełamać wszelkie trudności, urągając prawom natury przenosi się czarodziejskim sposobem z miejsca na miejsce, nie ogranicza się do przystani ubogich na Woli, jest jednego dnia na Lesznie w barakach, i na Powiślu w świetlicy, gdzie gawędzi z ubogimi przyjaciółmi, i w Annopolu gdzie odwiedza chorych i nieszczęśliwych i w Polusie, i w Syberji wśród straceńców, dla których śmierć stała się symbolem wyzwolenia i w szpitalach dla nieuleczalnie chorych, i u Łazarza, nawet w szpitalu żydowskim, gdzie fanatyczni ortodoksi z ghetta chętnie nawiązują rozmowy z „panem księdzem", mającym dobre słowo dla każdego.

Jedno nie ulega wątpliwości. Żaden zawiły system ekonomiczny nie zbawi świata, dopóki każdy z nas nie wyrobi w sobie psychologji brata maluczkich, nie zastosuje w życiu codziennem zasady — „Miłuj bliźniego, jak siebie samego" i nie uwierzy, że życie ludzkie nie kończy się na tym świecie.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Wykład prof. Potomka

(Miany w Collegium Maximum w grudniu 2234)

Na poprzednich moich wykładach wyłożyłem Państwu, na czem polegał i jak się rozwijał oraz upadał system pracy pańszczyźnianej w Europie, a w szczególności w Polsce w wiekach XVI, XVII i XVIII. Obecnie przejdziemy do zagadnienia wielce ciekawego, a niedostatecznie dotąd przez naukę naszą wyświetlonego.

Mianowicie każdego badacza uderza zdumiewający napozór fakt: Czemu Polska, która w ciągu wieku XIX-go wyzwoliła się z systemu pańszczyzny chłopskiej i zniosła niewolę włościan, w wieku XX-tym, jedyne z państw europejskich, do tego systemu w całej rozciągłości powróciła?

Próżnobyśmy w dość obfitym materjale źródłowym pierwszej połowy XX-go wieku szukali aktów ustawodawczych, zaprowadzających pańszczyznę — niema ich tam zupełnie. Przeciwnie znajdujemy ustawy, mowy sejmowe i liczne pisma, wskazujące na wielką rolę chłopów, a polityka tego okresu odbywa się nawet pod hasłem: frontem do wsi. Nigdzie nie napotykamy zwolenników przywrócenia pańszczyzny, a jednak w drugiej połowie tego wieku panuje w Polsce system niewoli chłopskiej.

Toteż uczeni późniejsi gubili się w domysłach. Jedni twierdzili, że pańszczyzna XX-go wieku była tylko fragmentem ustroju politycznego, inni — pod sugestją źródeł późniejszych wieków — całą winę przypisywali wyłącznie żydom. Postarajmy się rzecz tę zbadać drogą metody porównawczej.

Porównania dostarcza nam jeden z wybitniejszych mężów stanu państwa austro - węgierskiego w dobie upadku, prof. Michał Bobrzyński. Opisując wprowadzenie pańszczyzny w ciągu wieku XVI-go stwierdza on, że nie dokonano go bynajmniej w drodze ustawodawczej, lecz drogą szeregu uzusów i precedensów trojakiego rodzaju. Pierwszy rodzaj, to przywiązanie chłopa do ziemi przez odcięcie mu możności przenoszenia się swobodnego z miejsca na miejsce i uniemożliwienia synom chłopskim wyjazdu na studja lub do miast. Drugi rodzaj, to dowolne zwiększanie świadczeń chłopskich i zniesienie samorządu wiejskiego przez skup sołectw przez panów. Trzeci to wyjęcie chłopów z pod sądownictwa powszechnego i poddanie ich wyłącznemu sądownictwu dziedziców, a w dobrach królewskich — starostów.

Czy system ten da się zastosować do wieku XX-go? Niewątpliwie tak.

Przywiązanie do ziemi następuje tutaj stopniowo. Najpierw spotykamy ograniczenia, utrudniające coraz bardziej studja synom chłopskim. Szereg aktów prawodawczych z lat 1932—1940, to ustawa szkolna znosząca niższe klasy szkół średnich, nie wprowadzająca jednocześnie w praktyce wyższych klas szkół powszechnych na wsi, dalej podwyżki opłat w szkołach wyższych, opłaty w szkołach powszechnych, krępowanie stowarzyszeń samopomocowych, które najwięcej pomocy niosły chłopskim synom, nowy rozdział stypendjów, a wreszcie ustawa z r. 1939 ograniczająca przyjmowanie uczniów do szkół średnich i dająca pierwszeństwo synom urzędników. Po roku 1940 wyjątkowo już tylko spotykamy młodzież wiejską w szkołach średnich i wyższych.

Odpływ do miast zostaje odcięty ze wsi bez aktów ustawodawczych, jedynie drogą systemu podatkowego i reglamentacji świadectw przemysłowych. Ta część ewolucji społecznej XX-go wieku wymaga jeszcze gruntownych studjów.

Wreszcie następuje całkowite glebae adscriptio przez nowelę do przepisów meldunkowych, wydaną w r. 1940, a zakazującą komukolwiek opuszczania stałego miejsca pobytu bez wizy miejscowej władzy administracyjnej pierwszej instancji.

A teraz ciężary przymusowe. W XX-tym wieku w przeciwieństwie do XVI-go nie panowie wsi przeprowadzają dowolność i zwiększenie ciężarów, lecz bardzo ciekawa dla tej epoki instytucja t. zw. Urzędów Skarbowych. W połowie wieku XX-go zostają ostatecznie skasowane odwołania od decyzji urzędów skarbowych w przedmiocie wymiaru świadczeń na rzecz państwa. Na następnym wykładzie podam państwu nader ciekawe cyfry dotyczące wzrostu i rozkładu tych ciężarów w omawianym okresie.

Równolegle z tem idzie akcja, będąca odpowiednikiem skupu sołectwa, a mianowicie akcja zastępowania wybieranych sołtysów i wójtów przez t. zw. komisarycznych sołtysów. W r. 1938 ostatni wybierany wójt gminy Zołzików na Wileńszczyźnie zostaje zastąpiony wójtem komisarycznym. Na tem ewolucja się kończy.

Wreszcie sądownictwo patrymonjalne. W latach trzydziestych wprowadzone zostają t. zw. sądy starościńskie, mające moc wymierzania kar doraźnych. Pierwotnie przysługuje chłopom prawo odwołania do sądów powszechnych. Lecz już w następnym dziesiątku lat zostaje wprowadzona poprawka proceduralna, o obowiązku wnoszenia kaucji w razie odwołania. Wysokość kaucji ustala sąd starościński. Z tą chwilą w aktach sądowych giną całkowicie sprawy odwołań wiejskich i próżnobyśmy ich tam szukali. Poza sądownictwem cywilnem, które dopiero w drugiej połowie tego wieku. wskutek stopniowego podnoszenia opłat sądowych w sądach powszechnych przenosi się przed forum starościńskie, reszta sądownictwa nad ludnością wiejską należy już całkowicie do starostów.

W ten sposób następuje połączenie trzech niezbędnych dla wprowadzenia ustroju pańszczyźnianego elementów: przywiązanie do ziemi rodzin włościańskich, dowolność w ustalaniu rodzaju i wysokości świadczeń na rzecz państwa wraz ze zniesieniem wybieralności samorządu wiejskiego i wyjęcie ludności wiejskiej z pod sądownictwa powszechnego, które odtąd zajmuje się niemal wyłącznie sprawami pomiędzy warstwą urzędniczą i przemysłową.

Cała ewolucja napotkałaby może na znaczne trudności ogólne, gdyby nie reforma prawa wyborczego, które w tym czasie (data 1935—1938) nastąpiła. Wprowadziła ona tylko jedną pozornie niewielką zmianę, zmniejszając liczbę posłów z 444 na 44. W rezultacie dało to tak wielkie zżycie i ujednolicenie poglądów wszystkich 44 posłów w ciągu lat pięciu, że różnice partyjne, wyznaniowe i narodowościowe całkowicie się między nimi zatarły. Obserwujemy tu to samo zjawisko, co w radach miejskich w XIV-ym wieku. Urząd posła staje się faktycznie dziedziczny i krąży wśród tego samego grona osób, które niedopuszczają do powstania nowych ugrupowań i dzielą się mandatami co pięć lat bez większych zmian, usuwając całkowicie walkę partyj politycznych w państwie.

Tak w świetle najnowszych badań przedstawia się sprawa wznowienia ustroju pańszczyźnianego w Polsce w wieku XX-ym, wznowienia, które doprowadziło do tego, co dziś nazywamy w nauce „okresem upadku społecznego" naszych dziejów.

Andrzej Mikułowski

Epopeja o kołtunach

Nagroda Nobla ma przedziwną własność petryfikowania i mumifikowania pisarzów, którzy nią zostali zaszczyceni. Jest huk koło jakiegoś reformatora i rewolucjonisty, jedni go atakują, drudzy go czczą i ochraniają, jest na ustach wszystkich. Nagle trach! I oto bohater wdziewa togę laureata, wchodzi na koturny i przestaje interesować ogół; jeszcze jeden nieśmiertelny. Wielu już tak skończyło: Bernard Shaw, któremu nic nie pomogło nawet nieprzyjęcie nagrody i którego błazeńskie kazania jeszcze tylko w Polsce (no i może na Bałkanach) znajdują słuchaczów, a nawet wyznawców; Maeterlinck i Romain Rolland, niegdyś bojowcy, a dziś już tylko ciężkie działa, wywlekane tylko w nadzwyczajnych okazjach przez pacyfistów i humanitarystów poto tylko, żeby się przekonać, że nikt już z nich nie wystrzeli; Kipling, schowany do muzeum zabytków wiktorjańskich, od czasu do czasu odkurzany i trzymany w rewerencji, ale już nieczynny; Hamsun; a nawet i Reymont, o którym jeżeli się słyszy, to tylko tyle, że „Chłopów" przełożono na język tybetański, czy baszkirski. Biedny Pirandello, co za perspektywa!

Coprawda trzeba powiedzieć, że Nobla dostawali zwykle wysłużeni emeryci, którzy i tak już przestawali pisać. Jednakże owa zdolność produkowania żywych trupów dotknęła siłą analogji także i młodych, nienadających się do balsamowania. Do takich należy Sinclair Lewis, który przed paru laty z takim hukiem wstąpił do noblowskiej Walhalli, wygłaszając mowę kandydacką, która takiem wzburzeniem przejęła jego rodaków. Miał już nawet wyjeżdżać na stałe z ojczystej Barbarji i osiedlić się w Europie, ale jakoś to nie doszło do skutku. Napisał jedną słabszą powieść „Ann Vickers", przez wszystkich omówioną, jak się należy dziełu laureata, nasz półliteracki światek, czy literacki półświatek odkrył nagle, że jest w Ameryce pisarz nazwiskiem Sinclair Lewis, „Renaissance" zakupił prawo przekładu wszystkich powieści i rzucił się do dzieła, angażując legjon tłumaczów.

Ale „prawo Nobla" zaczęło działać nieubłaganie. Sinclair Lewis jak stał, tak umarł jako przedmiot zainteresowania. Biedny Erdtracht, czy kto tam teraz jest nieodpowiedzialny za ów „Renaissance", czepia się wszelkich możliwych, a raczej tych niemożliwych sposobów i sposobików, żeby ludzi nabrać na kupienie tego żywego towaru. „Martin Arrowsmith" został skrócony o głowę, bo był zaduży. Nietrudzono się nawet nad sfabrykowaniem t. zw. skrótu dla młodzieży. Ot poprostu przełożono połowę, a resztę pozostawiono domyślności czytelników. Oczywiście nie kwapiono się zaznaczyć, że to nie wszystko i że jednak Sinclair Lewis napisał dalszy ciąg. „Main Street" wydano w dwóch tomach pod różnemi tytułami. Pierwszy tom nazywa się „Ulica Główna", jak w oryginale, ale urywa się nagle w dowolnem miejscu, tak jak i poprzednio wspomniany „Martin Arrowsmith". Czytelnik niepokoi się: to nie może być koniec; wraca do początku: może to tylko tom pierwszy. Strona tytułowa jednak milczy jak zaklęta. Wracamy więc znowu do końca: może brak kartek? Ale nie: druga połowa ostatniej strony jest czysta. Dopiero kompetentni informują nas: dalszy ciąg wyszedł pod niewiadomego pochodzenia tytułem: „Zwycięstwo cywilizacji". I znowu ani mrumru o tem, że to drugi tom „Ulicy Głównej". Dopiero na odwrocie strony tytułowej, tam gdzie nikt zwykle nie patrzy, skromny napis: „Ulica główna". Powieść: Ulica Główna; Powieść II „Zwycięstwo cywilizacji". Aha — uspokajamy się — poprostu chciano nas nabrać. Nie przestraszać rozmachem powieści, a drugi tom może ktoś kupić, kto nie kupił pierwszego, zaintrygowany tytułem. Dla ostatecznego zatarcia śladów pierwszy rozdział drugiego tomu nie ma numeru porządkowego. Dopiero następny, ukryty w gąszczu tekstu jest skolei dwudziesty. Są to wogóle bardzo milutkie sposobiki i nastrajają nas nadzwyczaj przychylnie dla wydawnictwa i... autora.

Tu jednakże kończy się słuszność gniewu czytelnika. Sinclair Lewis nie zasłużył na takie traktowanie. Nie jest oczywiście nic winien, że mu dano nagrodę Nobla i że stał się przedmiotem rozmaitych kantów wydawniczych.

„Main Street" czyli „Ulica główna", realistyczna powieść o symbolicznym tytule, jest częścią wielkiego zamierzenia artystycznego Lewisa, aby przedstawić w formie powieściowej całą Amerykę współczesną w jej najbardziej typowych przejawach: „Babbitt", to obraz przeciętnego miasta przemysłowego, „Martin Arrowsmith" — to stosunek do nauki, „Elmer Gantry — stosunek do religji, „Dodsworth" — ziszczenie jednego z najżywszych pragnień przeciętnego Amerykanina — podróż do Europy, „Ulica główna", to rdzeń Ameryki, główna arterja, która dostarcza ciągle nowych businessmanów, gdy starzy bankrutują, nowych sił, nowego, niezdegenerowanego purytanizmu i nowej energji — małe miasteczko.

Jest to drugi stopień amerykańskiej hierarchji społecznej: Pierwszy stanowią farmerzy, w dużym procencie niezasymilowani jeszcze cudzoziemcy, wyżej od miasteczka stoi miasto, potem duże miasto, potem bardzo duże miasto... aż do New-Yorku, Chicago, owych wielkich młynów, w których miele się ludzi, jak mąkę, a każdy z nich tyle znaczy, co jedno ziarno zboża w tych wagonach, które codzień idą do przemiału. Czy będzie chleb z tej mąki? Dziś zaczynamy już coraz poważniej w to wątpić



Sinclair Lewis

Cywilizacja urbanistyczna wymaga utraty indywidualności. Praca nad tem zaczyna się już od niemowlęctwa społecznego — od małego miasteczka. Wszelkie zapędy reformatorskie, usiłujące wprowadzić życie, twórczość, myśl do tej atmosfery, są tylko daremną szarpaniną. „Bakcyl małomiasteczkowy" toczy reformatora powoli, aż wreszcie gdy ten, rezygnując z reform, chce ocalić już tylko siebie, uciec gdzieś daleko, spostrzega, że jest już zapóźno; kołtuństwo wchłonęło go zupełnie. Oto problem powieści Sinclaira Lewisa.

Nie w problemie jednak leży jej punkt ciężkości. Lewis jest przedewszystkiem obserwatorem, a nie reformatorem i jest mistrzem powieści realistycznej, którą doprowadził do perfekcji. Bystrość obserwacji przy doskonałej zdolności wyboru rysów charakterystycznych daje obraz precyzyjny, a rzadko tylko nużący drobiazgowością, która jest plagą pisarzów amerykańskich. Humor sardoniczny, ale życzliwy, nieskomplikowany, bezpośredni i szczery zabarwia postaci bohaterów, zaostrza ich sylwetki. Postaci te są pyszne w swej prawdzie psychologicznej, osiąganej często przez autora drobnem, a jakże charakterystycznem pociągnięciem pióra.

Przedewszystkiem jednak zainteresowanie wzbudza sam temat: Ameryka, kraj tak egzotyczny, choć przystrojony nie w żadne burnusy i kimona, ale jak i my w jednakowo skrojone marynarki; kraj tak nieprawdopodobny, choć często dotkliwi dający nam odczuć, że zupełnie prawdziwy; jeszcze przed dziesięciu laty ziemia obiecana, dziś już tylko obiekt mało przeważnie życzliwego zainteresowania. Jeżeli jednak przechowali się jeszcze gdzieś w zakątkach, do których nie dotarły wieści o krachu Ameryki, jej entuzjaści, wystarczy dać im do ręki dzieła Sinclaira Lewisa. Tych kilka powieści, wraz z temi, które jeszcze niewątpliwie zostaną napisane (bo pisarz ma zbyt wiele temperamentu i zbyt jest młody, by dać się złamać „prawu Nobla") pozostaną jeżeli nie w literaturze, to napewno w historji, jako cenny dokument tej rzeczywistości, w którą już za lat 50 nikt nie będzie chciał wierzyć, dokument, pisany ręką naocznego świadka i — uczestnika.

Nie chcę probować analizować dzieł Sinclaira Lewisa, ani nawet jednej tylko „Ulicy głównej", tej najpełniejszej chyba epopei kołtuństwa, jaką kiedykolwiek napisano. Na tych kilkuset stronach zawarta jest cała psychika amerykańska, dziwaczny wynik zetknięcia się i szczególnego powikłania skomplikowanej kultury starej Europy z prymitywizmem „Nowego Świata". Psychika ta jest jednocześnie psychiką autora. I dlatego przy całej druzgocącej krytyce nie traci on ani na chwilę pobłażliwego uśmiechu.

Sinclair Lewis wierzy w Amerykę i świata poza nią nie widzi (inaczej nie byłby może tak świetnym obserwatorem); kołtuństwo triumfuje, ale niema w tem tragedji, bo jego przedstawiciele, to w gruncie rzeczy dzielni i prawi ludzie, choć tak im brakuje kultury. „Nieprzerwanie ciągnie się ten kraj od gór Skalistych, aż do Alaski", — myśli Lewis myślami Carol Kennicott, owej pokonanej reformatorki małego miasteczka. — „Mocarstwo, które wzrośnie w bezprzykładnej potędze kiedy inne się zestarzeją. Zanim się to stanie — wiedziała o tem — sto pokoleń takich jak ona reformatorek porwie się z motyką na słońce i upadnie tragicznie, choć bez uroczystych pień żałobnych, w tuzinkowej, a nieuchronnej tragedji walki z bezwładem..."

Żadnej może swej powieści nie pisał Lewis z takiem przekonaniem. Kto wie bowiem ile z niego samego kryje się w postaci Carol Kennicott. Jego walka reformatorska z bezwładem kulturalnym nie jest jednak walką beznadziejną. Przenika ją bowiem wiara i miłość.

Przełożył „Ulicę główną" p. Cz. Jastrzębiec Kozłowski, notowany już w kronice przestępstw przekładowych za tłumaczenie innej powieści Sinclaira Lewisa — „Mautrap". Rodzaj przestępstwa jest niezwykły, a polega na niewytłumaczonej jakiejś skłonności do fabrykowania dziwacznych nowotworów językowych i do posługiwania się słowami już nieużywanemi. Młodopolsko - mirandolowska maniera, polegająca na wyobrażeniu, że archaizowanie, czy folkloryzowanie stylu czyni go bardziej literackim, każe wprowadzać zwroty, jak: „nito", lub „by", w znaczeniu „jakby", „jagody" zam. policzki, „ćma" zam. ciemność — co w zestawieniu z egzotycznem środowiskiem amerykańskiem razi i psuje gładkość przekładu. Jeżeli dodamy jeszcze niepokojące wyrazy, jak „żmiuda", „rostruchańska wyprawa", „domowity", „bolibrzuch", „brusy", „jadwiżka" (poduszeczka do szpilek) i t. p., nic dziwnego, że wrażenie niezwykłości się wzmaga. Rozhulanie tłumacza prowadzi go do kolizyj z gramatyką polską: „ciekawo o nim posłuchać", „w gruncie uważa pani...", „jest pani daleko za skromna", „droczyć kogoś", to już nie nowotwory, ale błędy językowe.

P. Kozłowski jest tłumaczem wytrawnym, mającym za sobą już szereg poważnych pozycyj, szczególnie w zakresie poezji. Ma tak poważne zalety, jak sumienność i staranność, zachowanie pietyzmu do dzieła oryginalnego, a wreszcie dobrą znajomość języka oryginału. Tembardziej pożądane byłoby większe opanowanie temperamentu nowatorskiego — wybujałego indywidualizmu, co postawiłoby p. Kozłowskiego w pierwszym szeregu naszych tłumaczów, których nam tak brakuje.

Michał Pawlikowski

Z „Hymnów Strzelistych"

Poniżej drukujemy fragmenty pięknego poematu religijnego Michała Pawlikowskiego p.t. „Wierzę w jednego Boga", który świeżo ukazał się na półkach księgarskich w nakładzie Bibljoteki Medyckiej, oraz fragment drugiego poematu z cyklu „Hymnów Strzelistych", jeszcze niewydanego (Red.).

Fragmenty z poematu „Wierzę w jednego Boga"

ZIEMIA nasza jest jak pył w nieskończoności... iskra srebrna w ciemności.

Ziemia nasza jest jak proch w otchłani, a my, czemże jesteśmy na niej?...

Oto myśl moja poszła gdzieś w przedwieczne mrozy, między gwiazdy iskrzące jak światła nieprzeliczonego obozu, rozbitego wśród nocy. A dojrzawszy między niemi pył ziemi, zakręciła się jak dokoła procy zanim ta kamień wyrzuci, i puściła się w lot by wrócić, by jaknajprędzej wrócić...

Jak srebrne nici piorunów mijały ją Plejady, aż wpadła w grady meteorów i z kamieniami czarnemi leciała coraz bliżej, coraz bliżej ziemi.

A ona rośnie mi w oczach, rośnie w oczach i jaśnieje. Już odpoznaję jej rysy: północnych lodów kanty, strzelisty grot Ameryki, sztandar Europy poszarpany, a między niemi Atlantyk... Srebrzą się podemną lądy, ciemnieją oceany... Już widzę łańcuchy gór, widzę już białe miasta... i już podemną Polska, moja własna Polska się rozrasta!

Już się zanurzam w atmosferę... Łzy wiatr do oczu pędzi... Zapach wody, ziemi, łąk, sianożęci, chleba... Wokół błękitne rozpylenie, białe obłoki po niem glob zasnuwające, płyną... A nademną niebo zielone, nademną ze świstem pędu, meteory spłomienione w ognie latające, zostają w tyle i giną... Błękit, błękit, błękit przelewa się pozamnie, a podemnną świat przyodziewa się w kolory i w słońce...

Górska cisza głęboka. Południe, słychać tylko szmer lasu i szum potoka i głęboki zbyrk dzwonka mierędzającej po polanie krowy... Ponad grań, jakże zjeżoną wysoko, — białe obłoki się gonią. Przedemną łuk wielkiej góry... jakże rozpięty szeroko! — Świat się w pogodzie złoci... Słychać gdzieś świerszcza, który bierze pierwsze skrzypce natury:

„O Boże wieczystej mocy i nieskończonej dobroci!"...

ZIEMIA nasza jest jak proch w otchłani, a my, czemże jesteśmy na niej?

Czyli jeszcze nie wiecie? Czyli jeszcze nie wiecie, że w każdym z nas zamknięta jest nieskończoność?... że w każdym z nas jest dusza z duszy Boga wzięta? Czyli jeszcze nie znacie treści, która się w ludzkich piersiach może mieścić? Czy nie czujecie oddechu, który w nie dmą przeciągi wieków?—Czyli jeszcze nie wiecie, jak wielkiem, jak świętem jest życie?!

O ludzie małej odwagi, liczący na miary i na wagi, którzyście z trwogi poszaleli, zgubieni i opuszczeni na tym niezmiernym świecie... Czy jeszcze nie wierzycie, czyliście zapomnieli, że Bóg, sam Bóg, wieczny i nieogarnony, przyszedł pomędzy nas... w Nazarecie?!

Czy nie wiecie jeszcze co to znaczy, że każdy z białych opłatków, święconych co dnia na wszystkich ziemiach tai całego Boga? — Czy jeszcze zbiera was trwoga? Czy jeszcze myślicie inaczej?...

WIERZĘ w jednego Boga.

Nie przychodzę ze sprawą, z żadną moją marną sprawą człowieczą. Wszystkie mi one z rąk podniesionych ku Niemu przez palce lecą... Płaszcz moich nędz i mojej troski opada mi do kolan. Na strzępy podarta szmata, w głogowej krwi skąpana z ramion moich oblata... Zagasła moja myśl w ciemności... i tylko wola została — uparta wola dobrego, — a tej, choćby niewiem co było i choćby niewiem jak było, nie wydrze mi nigdy nikt, bo ta jest z Niego.

Wychodzą z kościoła ludzie po nieszporze. U progu, gdzie stoi kropielnica żegnają się krzyżem świętym... Uderzył organ w górze na ciemnym chórze i grzmiący za nimi woła. Na pusty kościół padła tonów nawałnica i ucichła... W głębi przy ołtarzu zagasła ostatnia złota świeca... Zamknęli wrota.

Wszystkie tony zatonęły w ciszy, nikt ich nie słyszy, a grają... Jakąż to świat muzyką dyszy? Jakie to głosy wstają z jego wnętrza?

Oto moc Boga żywego we mnie i koło mnie się spiętrza, coraz większa, coraz gorętsza. I rośnie ponad jodły, kędy mnie oto wywiodły oczy w niebo gwiazdami usiane. Koło bezmiaru nademną się toczy—w tę stronę i w tamtą stronę — zanurzone w czasu huragany!

Fragment z drugiego poematu

A POTEM przyszli niektórzy z miasta i pytali o tę Niewiastę, która jest Matką Boga. Czy grzmotem włada wśród burzy? Czy się w Jej dłoniach świat truchlejący pali?

A myśmy nie rzekli nic... W ciszy nieporuszone trwały płomienie świec... Zaszemrał sypki różaniec, — słoneczny promień szedł po ścianie... Zdrowaś Marjo...

Hej ludzie! Wszak była ze wschodu i z Dawidowego rodu. Czy była sławnego rozumu, jak ta hetera świetna: jak Estera?

A myśmy nie rzekli nic... bo mogli wołać, co chcieli — myśmy już ich języka i tak w duchu nie słyszeli... Łaskiś pełna...

Mówcie! Czy była chwałą ludu okryta, jak Judyta i jak ona nieustraszona i krwi niesyta?

Pan z Tobą...

Hej ludzie! powiedzcie przecie, co wiecie. Jakże mogło inaczej być? Czyż nie była między niewiastami, jak miesiąc między gwiazdami, wspaniała, jak Semiramis?

Błogosławionaś Ty między niewiastami...

Jakichże mórz sięgać musiała niezmierna Jej potęga, większa, niż Kleopatry z Egiptu!

A myśmy nie rzekli nic... bo mogli wołać, co chcieli, — mybyśmy się i tak już byli nie zrozumieli... Pani nasza jechała z Dzieciątkiem na osiołku, w wielkiej trwodze, a przy nodze z tobołkem szedł cieśla Józef... w drodze do tego Egiptu...

Pani nasza była ze wschodu, ale jest miasto w Italji, które anieli światłami zasypali. Tam się Jej dusza pokorna, kwiatami wonna rodziła — i tam Ją nazwali Umile Donna.

Pani nasza była ze wschodu, ale Królową była słowiańskiego narodu, a Jej chwała na niebie i moc niczego dla siebie nie brała i nie bierze. Na cóż Jej ziemskie splendory, Jej, która całe życie była biedna? — Ale zwyciężała u Kircholmu i Wiednia! — ale szumiała w duszach rycerzy i była z nami u Cecory! Jak matka sprzęgała lute swoje dzieci miłością i dumą rodziny przez zawieruchy stuleci.

Ależ to było potem, a wtedy jeszcze wszystko było inaczej!

A cóż u Boga czas znaczy? — To dla nas przyszłość jest w nocy, byśmy ją mogli budować po naszej wolnej woli. Czy nie wiecie, że święci i prorocy mówili głosem pamięci? pamięci tego, co będzie? —

Nie, Matka nasza nie była Esterą, ani Judytą, i Kleopatrą nie była, i nie była Semiramidą... Wszystkie czasy u Boga i wstecz i naprzód idą, tworzące to, co jest wieczne. W Niej, wiemy, że w Niej, już wtedy było zamknięte całe słowiaństwo słoneczne i wszystkie nasze tęsknoty i wszystkie nasze biedy, i cała nasza w Nią wiara — i niceśmy Jej więcej nie przynieśli, kiedyśmy w Niej naszą Matkę odnaleźli.

Roman Koseła

K o c i r b a

Wolno, jakby od niechcenia przeżuwała Kocirba słomę z chwastem, której niewielką, chociaż na krótką lipcową noc zupełnie wystarczającą ochabkę w tok jej wrzucono. Napoły gliwiąc, a do jedzenia nie przywiązując najmniejszej uwagi, lękliwie strzygła uszyma, zasłuchana w wichurę, która nad chlewem szalała, kręcąc i miotając pluskawicą, co do śląkwy jesiennej była wielce podobna. Zimny, północny wiater tak przed południem wysmagał Kocirbę, że nawet i teraz drżała na wspomnienie owych ciętych basiorów, któremi deszcze prały po ziemi, a chociaż ziąb już dawno z niej odszedł, jeszcze pomrukiwała z lubością i przeciągała się z rozkoszą, jakby dopiero teraz zaczęła oparowywać po tej zimnicy przedpołudniowej, z której wróciła na mokrą ścierkę uflagana.

Pod dachem, w cieple, przejącem z nawozu, dobrze było Kocirbie. Możeby nawet i drzemać zaczęła, gdyby nie coś dziwnego, co drżało w powietrzu, co głuchemi szmerami chodziło pod ziemią, a było bardzo niemiłe i bardzo podobne do tych odgłosów, które się tłuką po świecie w czas odchodzenia śniegów, a przyjścia wiosny. Dawniej, gdy taki ogłos zaczynał dudnieć w powietrzu, a pod ziemią jęczeć, trwoga tak wielka i tak nieodparta chodziła po ludziach, że uciekali na powały, unosząc tam cały swój dobytek... Głosy dzisiejsze były takie samiutkie, jak na przedwiośniu, a nawet daleko silniejsze i tak wyraźne, że krowa zrozumieć nie mogła, czemu to już teraz na górkę jej nie biorą.

— Chyba, że jeszcze czas — myślała. — Widać, że jeszcze zdążymy A może ludzie już przyjdą?

Tedy, spodziewając się, że drzwi chlewu zaraz zaskrzypią, to zrywała się z podściółki, to znowu się kładła i żuć zaczynała, a nastrożona była przez cały czas, jakby na widok psa, od którego szaleństwem i krwią zalatywa. Przychodziły też chwile, że na ucieczkę jej się zbierało i, gdyby nie postronek, na którym ją więziono. gdyby nie zamknięte drzwi, jużby jej w chlewie nie było: pognałaby tam, ku tym miejscom wysokim, gdzie młodość spędziła, ku temu pogórzu, po którem wichry często, lecz woda nigdy nie hula.

Głosy na trwogę były coraz natarczywsze, coraz silniejsze, ziemia już od nich w dygotkach stała, a powietrze jękiem dalekim, lecz bardzo wyraźnym brzęczało... Ludzie jednak tego nie słyszeli.

— Może pospali się?—pomyślała krowa. —Trzebaby im znak podać!

Podniosła łeb do góry i ryknęła żałośnie. taksamo jak wtedy, gdy ją boleści jesienną porą na koniczysku chwyciły. W parę minut po pierwszem ryknięciu zjawiła się gospodyni, poświeciła nad Kocirbą, obejrzała jej boki, pomacała po nozdrzach i uszach, a nie stwierdziwszy żadnej choroby. poszła spać.

Kocirba była bezradna. Zrobiła wszystko, co mogła, aby się ludzie z tej niebezpiecznej drzemki ocknęli, a tu nic! Nic! Jakby woda już się nie zaczynała z ziemi wysączać, jakby deszczówka już się nie mieszała z tą zaskórnicą, którą przed każdą powodzią poci się rzeka i spływa ku miejscom nizinnym!... Ryczeć? — gotowi ludzie przyjść i Kocirbie boki wyokładać, że im popróżnicy sen przerywa!... Lepiej tedy czekać, aż świt nadejdzie, a wtedy może się ludzie i sami spostrzegą.

Wreszcie dzień się zdążył rozrobić, a w chałupie ruch się zaczął... Z pierwszym dnia rozbryzgiem przyszło To Wielkie straszne, przed czem nawet i człowiek ucieka, — a przybiegło nie od rzeki, nie od tych wałów, w których szumiała brudna, spieniona woda, — stoczyło się w nizinę od pól i łąk, po których jeszcze wczorajszego ranka Kocirba za karmem chodziła, biegło zaś takim pędem i tak wysoką górą, że krowie woda odrazu pod wymiona chlusnęła... Zaraz się rejwach zrobił w chałupie, lament i krzyk... A temu rozgardjaszowi wtórował Zagraj, szczekliwie skomląc i płacząc, że woda na budę go zapędziła... Kocirba stała, ani rycząc. ani się szarpiąc. Bo i poco? Ktoś przecież przyjdzie! Przyjść musi!... Lecz chwile biegły, a nikt nie przychodził... Wkrótce uciszył się zamęt w chałupie, ucichło też i Zagrajowe skomlenie...

Woda podnosiła się wolno, lecz nieustannie. Już nawet zaczęła łechtać Kocirbę po bokach...

— Czyżby zapomnieli? — pomyślała Kocirba.

Nie śmiała przecież rykiem przypominać o sobie, więc tylko ciche, błagalne „Mu - mu!" rzuciła w świat... Lecz i teraz nikt nie przyszedł... Wtedy dopiero Kocirba zrozumiała, że zapomniano o niej, że odtąd sama o sobie myśleć powinna.

A woda szła coraz to wyżej... Fale już raz i drugi połaskotały krowę po podudziu. Kocirba zaczęła długo przeraźliwie ryczeć i tak mocno siepać postronkiem, że ściany chałupy zadrżały.

— Byle się oderwać z powroza!... Byle się tylko za drzwi wydostać! — myślała opuszczona krowa i jeszcze silniej zaszarpała tokiem. Wreszcie powróz pękł. Kocirba wyrżnęła w drzwi, a palnęła tak silnie, że z zawias je wyrzuciło, a za ścianą coś z gruchotem i brzękiem runęło... Rozpluskana woda zaburzyła się i dużym wałem chlusnęła w drzwi sieni, a po tem odbiła się od nich i zaleciała Kocirbie pod same nozdrza, obiegła ją z boków, coraz mniejszemi falami po sieni chodząc, opadła... Krowa stała jak wryta w ziemię. Taka ją trwoga po tym pluskocie i tym rumocie nabiegła, że nogi jej zniemiały, a w grdyce ryk zamarł... Długo, długo przychodziła do siebie, a gdy już oprzytomniała, zamierzyła się do drzwi, przez które codziennie ze stania ją wyprowadzano, obwąchała je, dotknęła nozdrzami rygla i posmutniała: o wyjściu tą drogą nie mogło być mowy, gdyż drzwi się w głąb otwierały... Dumać Kocirbie przecież nie było o czem. Trzeba ludzi szukać, gdyż zratowanie od nich tylko przyjść mogło. Skręciła tedy ku drzwiom izby i zaraz się przy pierwszym kroku potknęła. Znów się ścisnęło z trwogi serce krowy, gdyż w wodzie leżało coś tak niedobrego, że palnęło ją w gicał, poderwało jej nogę i ze zbytków chlusnęło w nozdrza wodą i do grdyki pchnęło tę brudno - żółtą ciecz z taką siłą, że krowa gwałtownym się krztuścem zaniosła. Kocirbie łzy popłynęły z oczu, a po kaszlu tak ją na wnątrzu rozbolało i siły tak ją odeszły, że stała bez woli, bez chęci w sercu, łeb z rozpaczy ku wodzie zwiesiwszy, ciężko zipała i bokami robiła, wydychając ból, który po krztuścu orał ją po gardzieli.

Woda tymczasem rosła, powoli pęczniejąc od spodu...

Kocirba musiała teraz zadrzeć łeb do góry, gdyż zalew zaczynał po grzbiecie jej chodzić. Zaniepokoiło to krowę, zaczęła tedy niespokojnie dreptać, przestępować z nogi na nogę, a przy tem dreptaniu zadała się na to, co w wodzie lażało. Wzdrachnęła się Kocirba, gdy racicą dotknęła tego, chciała odskoczyć w tył, lecz jakoś się na odwagę wzięła i nacisnęła na to, co ją przedtem tak silnie w gicał kopnęło. To ani drgnęło. Zamierzyła się tedy drugą nogą, posunęła się ku temu, majtnęła żwawo i silnie poślednieml nogami i wydostała się nad wodę... To, na czem Kocirba stała, ani się rzucało, ani też trzaskiem groziło...

Teraz rozejrzała się w nowem położeniu. Przed nią, blisko przy schodach, stała wielka, dłuższa od każdej Kocirby skrzynia, gdzie gospodyni mąkę i inne smaczne rzeczy chowała... Wystawało to jeszcze z wody i było tak wysokie, że gdyby Kocirbie udało się tam wydostać i głowę do schodów obrócić, to może i na górę nie byłoby trudno po schodach się wygramolić.

Kocirba patrzała na zieleń szafarni, na te białe i siwe kwiatki, które na niej wyrosły, i możeby nawet tak do końca powodzi w zapatrzeniu stała, gdyby nie to, iż mrówki jej latać zaczęły po nogach poślednich, a krzyż jakoś jej zdrętwiał i rozbolał. Trzeba się poruszyć, bo gdy nogi zupełnie z zastania zmartwieją. upadnie w wodę, a wtedy... Kocirba nawet o tem nie chciała myśleć, lecz odrazu ruszyła ku szafarni, zadała się przedniemi nogami i ryknąwszy rozpaczliwie, jakby błagając o spokój, jakby zapewniając, iż nikomu krzywdy nie zrobi, pchnęła się wprzód. Szafarnia tylko zaskrzypiała, lecz Kocirby z siebie nie zrzuciła.

Po tym wyczynie Kocirba długo drżała z przejęcia, z trwogi i zimna. Wyłupiaste jej oczy błądziły po sieni, na którą sypało się z poddasza żółte światło popołudnia, odcinając się plamą na schodach, po których tyle już razy Kocirbę na strych wciągano.

Krowa, wspomniawszy dawne dzieje i czułą opiekę, której za dobrych czasów doznawała. mruknęła cicho z żałością, jakby się spodziewając, że tam na strychu są ludzie, że ją usłyszą i przyjdą z pomocą. Długo czekała, długo nasłuchiwała i uszyma strzygła. lecz kroków ludzkich słychać nie było; zaczęła tedy dumać o swej niewesołej doli i żałować, że tego siwego człowieka tą wiosną ludzie wynieśli z domu w jakiemś czarnem, długiem pudle, a wynieśli tak dobrze, iż nigdy już nie potrafił dróg do chałupy odnaleźć...

— Hej, gdyby on był, inaczejby poszło — dumała Kocirba. — Pchnąłby mię stylu, krzyknął na tych na górze, aby silniej ciągnęli, a jabym nogami ot tak.... tak... przebierała! — i Kocirba, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaniosła się przednią nogą na schody, a po niej druga, oparła się niemi na płaskich deseczkach i zmartwiała, zrozumiawszy swoje zuchwalstwo, i zaraz drżeć zaczęła, gdyż źle postawiona noga zatrzymała się na samym skraju schodów.

— Co robić?!... Co robić?!...— ryknęła przeraźliwie.

A przy tym wysiłku, na jaki się rycząc zdobyła, noga jej się obsunęła. Majtnęła nią w powietrzu raz i drugi i trafiła na schodek, a wtedy ze strachu zaczęła pracować i lewą nogą i zajechała na deskę powały. Znów prawa noga zaczęła jej się ślizgać.

— Ratunku! Ratunku! — ryczała przerażona krowa.

Ryk trząsł ścianami sionki... Rozpacz dodała Kocirbie i sił i rozumu... Krowa ruszała się tak samo, jak za dawnych czasów, gdy ludzie pomocni jej byli, a pracowała i przedniemi i poślednlemi nogami i tak gramoląc się i rycząc, wsparła się piersiami o deski powały...

Jak się znalazła na górze — nie wiedziała! Skoro jednakże poczuła pod sobą powąłę, zaraz ją wielkie osłabienie naszło i padła prawie zemdlona...

Długo wydechiwała się z tego zmęczenia. długo bokami robiła, słuchając bicia serca, które tak silnie waliło, że piersi krowie omal rozsadzało...

Przez dziurę, wyrżniętą w facjacie domu, lało się słońce jasne, żarem zionące: w pewnej chwili siadło Kocirbie na skórze i zaczęło ją drażnić mile, jakby tym samym ciepłym plastrem było, który Kocirbie ludzie przykładali, gdy silne boleści ją sparły... Dobrze było Kocirbie, leżała też bez ruchu, zamknąwszy oczy... Drzemała...

Na odwieczerz samotna krowa ośmieliła się rozejrzeć po strychu. Nic tu się nie zmieniło... ta sama pajęczyna wisi ze snopków.. te same rupiecie leżą na podłodze... Brak tylko Zagraja, kur i ludzi...

— Potonęli chyba! — pomyślała krowa i dźwignęła się z desek.

Teraz chodzić będzie mogła, więc nogi już jej nie zdrętwieją. Wyprostowała się, przeciągnęła z lubością i ciekawie spojrzała w ten czarny otwór, pod którym śmierć się taiła: dziura była wyraźna, odcinała się od desek powały i straszyła mrokiem, co się powoli sączył od spodu na strych... Kocirba wykręciła się od niej, fuknęła pogardliwie i zaczęła rozpamiętywać, co się takiego niedawno zdarzyło, a gdy przypomniała sobie przeżycia, zdziwiła się samej sobie, iż taki ją lęk wtedy opanował. Przecież to tak samo odbywało się przy dawnych, wielkich wodach, przecież taksamo jak i dziś, nogami robiła! Tak, niby taksamo, a przecież nie! Wtedy ludzie przy Kocirbie byli!

— Tak! Wtedy to ludzie pomagali!

A teraz sama była. Znaczyło to ni mniej ni więcej, że głód ją będzie męczył, że wody nikt jej nie poda i nie odciągnie z wymienia tego bolesnego, a tak namolnego ucisku!

Na wspomnienie ludzi pić się jej zachciało. Rozejrzała się po górze, czy nie ujrzy wiadra, lecz nic takiego nie zobaczyła, podeszła tedy do schodów i spojrzała wdół. Woda za nisko stała, aby można się było zdobyć na odwagę opuszczenia przednich nóg w tę czarną, wilgocią zionącą przepaść. Zresztą, kto wie, co się przy tem zdarzyć może? Gotowa jeszcze spaść na głowę!... Odeszła więc od dziury i wolno, z rozmysłem stąpając, udała się do okna w facjacie, aby na świat popatrzeć.

Przez kwadratowy otwór widać było jedynie wodę i wodę, na której to tu, to tam zieleniły się kępy drzew i bieliły kominy domów. Gdzieś bardzo daleko leżała ciemnoniebieska wstęga pogórza... Kocirba czuła, że tam za tą wodą, za temi kępami drzew, znajduje się wszystko, czego jej do szczęścia było potrzeba, że tam są ludzie, i taka ją tęsknica za gospodynią napadła, że ryczeć nanowo zaczęła...

Mrok wtoczył się na poddasze, a przyszedł nagle z tą chwilą, gdy słońce, na pogórzu osiadłszy, uciekło raptem z okienka... Wtedy sypać się zaczęła noc z otworu i wypijała resztę tych cieni światła, które sączyły się przez dziury, wydarte w strzesze przez czas i wiatry.

Dla Kocirby zaczęła się męka całonocnego czuwania. Samotna krowa bała się odejść od okna, bała się ruszyć choć o krok od tego otworu, za którym widać było świat nocny, straszny wprawdzie, bo straszny, a przecież nie taki przerażający, jak owe mroki, co za Kocirbą stały, gotowe w każdej chwili wyrwać jej deski spod nóg i rzucić ją w sam środek wilgotnej, zimnej otchłani, która po chałupie szumiała. Wreszcie księżyc zaświecił, wysypały się gwiazdy na niebo i patrzeć zaczęły na Kocirbę i mrugać do niej. Weselej się krowie robiło, choć czuła, że otwór w powale rozrósł się do niebywałych rozmiarów, że otoczył ją ze wszystkich stron, podszedł jej pod brzuch i tylko się waguje wydrzeć spod niej tę resztę podłogi, na której Kocirba stała...

Takich nocy Kocirba jeszcze trzy przeżyła...

Do męki samotności i strachu dołączyła się wkrótce udręka głodu i pragnienia. Przez pierwsze dwa dni głód skręcał jej żołądek, trzeciego dnia ucichł, zato wzmogło się pragnienie. Na szczęście woda tak już wysoko podeszła, że na ostatnim schodku stanęła... Pragnienie przezwyciężyło strach i Kocirba długo piła brudny i wstrętny płyn...

Czwartego dnia już od samego świtu niebo się zawlokło chmurami, a zaraz potem poszły pioruny i grzmoty i trzęsły światem. Po trzaskawicy deszcz poszedł i polał się śląkwą. Nieustanny plusk deszczu tak był namolny, że krowie spać się zachciało, i już się jej oczy kleić do snu zaczęły, gdy plusk silny, a niepodobny do deszczowego poderwał Kocirbę... Krowie zaczęło serce bić mocno, mocno...

* * *

Sołtys choćto już czwarty dzień powodzi nad wsią się rozszalał, choćto niby już wszyscy ludzie do Sandomierza i Tarnobrzega, a nawet i na pogórze zostali wywiezieni, nie mógł się doliczyć aż pięciu osób, a nawet nictyle osób, ile dzieci, zwykłych smarkuli, pędraków.

— Franków Stach do Skotnik odszedł, to może w kościele na ołtarzu abo i we dworze siedzi! — zliczał sobie władza. — Wojtalak i Jędral ani chybi w Samborcu są. Ale gdzie te dwa Jaśkowe skwirki, to djasi wiedzą! Trza szukać, bo Jaśkowa tak będzie od sołtysów i innego nasienia wywoływała, że człekowi łeb spuchnie!... Tfy! Cholera, a nie sołtysie zasmarkane zycie! Dali te widencyją ludzi, niby ze sołtys to o kazdem poganie powinien wiedzieć, karami zagrozili za nie pilnowanie i gotowe jesce do kryminału wsadzić, jak się chłopaki nie nańdą!... Tfy! Cholerności z takiemi pierońskiemi rządami! Włóc się, człeku, i świrknij, bo ci widencyją dali! Skoda, ze nie trza meldować, ile razy i kto w zagate pódzie!... Tfu, psiokrew.

Jeździł tedy po topielisku i przepytywał tych, co się na kalenicach uparli siedzieć, czy nie widzieli zaginionych chłopaków. Nikt takich nie widział. Musiał tedy sołtys jeździć i szukać, a na wsi się nie pokazywać, bo djasi gotowi przywieźć spowrotem Jaśkową babę, a ta jużby mu cały sołtysi łeb roztrajlowała; musiał nawet od ludzi uciekać, bo przecież już i sam Jasiek klął go, sołtysa, te cholerną władzę, co to o swoich kurach pamięta, a o ludzi się nie troska, choć mu opiekę nad nimi dali i to niebylejaką opiekę! Więc przez pierwsze trzy dni sołtys się włóczył po topieli i sam przytem jeździł. czwartego jednak dnia jacyś grzysi przynieśli miejskiego panka, w dużych, czarnych okularach, kuśtygę i łysonia, a widać kogoś znaczniejszego, bo nawet i policjanty inaczej na niego patrzyli, niż na innych panków. Gdy się po burzy przecierać zaczęło, uparł się panek na wodę jechać, bo chciałby popatrzeć, jako to powódź szaleje, a uparł się tak namolnie i policjanty tak go popierały, że sołtys, chcąc nie chcąc, musiał go z sobą zabrać na wodę. Możeby zresztą sołtys się uparł i nie pojechał, przecież zmiękło w nim serce, jak panek piątkę mu pokazał, a taką nowiutką, błyszczącą.

Szorowali do wału przez wierzchołki wierzb. przeciskali się pomiędzy niemi i przeparli się na koniec wsi, a potem wychlusnęli na szeroką wodę zalewną.

Panek siedział spokojnie, o nic nie pytał, a tylko patrzył i patrzył. czasami wydobył notes z wyświechtanego ubrania i coś sobie w nim pisał.

Wypadło im znów wjechać w wieś. Sołtysa nic nie ciekawiło, co się tu działo, bo i ludzie w porę stąd uciekli i znisty w budynkach żadnej nie było widać, a przytem to nie jego wieś..., grzebał tedy wiosłem po wodzie, puszczał niem od niechcenia, bo i sterować jeszcze nie potrza było. Naraz panek poderwał się w łódce, palec na ustach położył, drugą rękę wyciągnął do sołtysa i zatrzymał go.

— Słyszycie?

Sołtys nastawił ucha. Jakby się cosik pod strzechą chałupy o kłoć czochrało, jakby się gratami chrzebeściło.

— Ki djasi! Ktosik tam jest?... Chyba złodzieje.... Jedźwa, panie, po policyjanta!

— Nie! Sami zrobimy!

Woda pod sam okap podeszła, to i złodziej napewno przez drzwi do chałupy nie wjechał. Wypadało patrzeć na strzechę i na facjaty, gdyż tylko tędy była droga na strych... Łódź objechała dom dookoła. Nigdzie śladów włamania nie było... A czochranie i chrzebest były tak wyraźne, iż nie ulegało wątpliwości, że ktoś tam na poddaszu jest.

— Strzeche trza bedzie wydrzyć! — mruknął sołtys.

— Nie! Deskę z facjaty: —odmruknął panek. — Jazda!

Wagował się sołtys wyłamać deski, ale co było robić, jak się pankowi wynajął?... Poszło tedy jedno i drugie szarpnięcie, deski na gwoździach zadyndały.

— No, władza, jazda na strych! Was uszanują, boście sołtys!

— Choleraby cię utłukła, miejski wyskrobku!... Bodejci djabli babke po piekle włócyli! — pomyślał sołtys.

— O, cóż się namyślacie? Jazda ociec!

— A idź pan do zmokłej kury! Jo bede lazł?

— A któż? Tylko wy! Władza!... No, siups! — i panek pchnął sołtysa w otwór w facjacie.

Zakołysała się łódź, głośno chlupnęła fala. Sołtys się gibnął i chwycił za deski, a potem dał nura w otwór.

— No, rece do góry!... Wyłazić, złodzieje! — wykrzyknął groźnie „władza" i wpił się trwożnie oczyma w mrok poddasza skąd z głośnym tupotem rwał ku niemu jakiś straszny, nawet w snach po przepiciu niewidywany potwór.

— Jezus, Maryjo! — krzyknął sołtys i rzucił się uciekać, lecz tak niezręcznie, iż palnął głową w przekładkę, idącą wpoprzek facjaty: zamroczyło go i na chwilę wstrzymało, lecz niedługo trwał w oszołomieniu, gdyż czyjeś dotknięcie i jakiś żarem lejący się po karku odech poderwały go na nogi.

— Co tam? — krzyknął panek.

— Djabeł! — odpowiedział sołtys i buch do łodzi.

Panek zamiast pytania zaczął się śmiać, a śmiał się tak głośno i szczerze, że aż okulary zaczęły mu tańczyć na nosie, próbował coś mówić, lecz w śmiechu i słowa jednego wypowiedzieć nie potrafił. Sołtys patrzał na facjatę i nic nie rozumiał... Przez dziurę wychylał się bielutki o wyłupiastych oczach łeb, a radosne „Mu, u!" mieszało się ze śmiechem panka.

— Do cholery! Przecież tam djabeł był! A teraz krowa? Skąd! I to Sindalszczanek Kocirba! Bo któżby tej cholery nie znał?... A niech cie!

Kocirba błagalnie patrzała na ludzi, a taka ucieszona była, tak zabawnie nogami dreptała, że nawet i mrukliwego panka to zadziwiło.

— No, sołtysie! Trzeba nam krowę stąd wywieźć! Widać zapomnieli o niej, to my ją przywieziemy!

Wydarto jeszcze kilka desek facjaty, z łatwością wyłamano wierzbową przegrodę, wjechano jak najgłębiej w otwór i zaczęło się uroczyste sprowadzanie Kocirby; zrobiono jej nawet pomost z wydartych desek, a Kocirba, ostrożnie po nim stąpając, zadała się na łódź, a szła ostrożnie, jakby już nieraz taką przeprawę odbywała.

— Zupełnie jak człowiek!—zadziwił się panek.

Gdy zaś łódka do wału szła, Kocirba ani drgnęła, rozglądała się tylko na wszystkie strony i piła nozdrzami wilgotny wiatr. Skóra jej drżała pod kroplami deszczu.

Wał, na którym gromada ludzi stała. rósł w oczach Kocirby, zbliżał się do niej szybko, a przecież za wolno.

Wreszcie gdy łódź zasznurowała dziobem o trawy, Kocirba jednym skokiem znalazła się na ziemi i głośnem „Mu-u!" biegła do gospodyni, która z płaczem rzuciła się krowie na szyję i całowała ją i po oczach i po pysku.

Dano Kocirbie wody czystej, takiej jak ludzie piją, dano jej kilka kromek czarnego, kwitnącem żytem pachnącego chleba. A Kocirba piła i jadła dosyta, a gdy już pod dostatkiem wszystkiego miała podeszła do gospodyni i łeb jej na szyi położyła.

Miejski panek poprawił okularów na nosie, popatrzał na krowę i powiada:

— No, Kocirba, a mnie to nic?

A krowa popatrzała na niego dużemi, czystemi oczyma i odpowiedziała cicho, łagodnie:

— Mu-u!

Karol Irzykowski

Tajemnica Bogumiła*)

W czasie challenge'u lotniczego, gdy lotnicy polscy większą część swego trudu mieli już poza sobą, jakież wzruszenie ogarniało nas wszystkich, jakież pragnienie, żeby i etap ostatni wygrali, żeby się Bajanowi udało. Czy wzlotom literackim towarzyszy takie samo zainteresowanie? Wcale nie. Jednak gdy Marja Dąbrowska ukończyła trzy tomy swojej powieści „Noce i dnie", wszyscy jej czytelnicy i zwolennicy jakże gorąco pragnęli, żeby jej się udał i tom ostatni, żeby stanął na tym samym choćby poziomie co poprzednie. Tak nam się ta powieść jakoś spodobała, tak nam przypadła do serca, tak zżyliśmy się z jej bohaterami.

I mamy teraz tę radość, że tom czwarty się udał, że wielkie dzieło zostało w sposób godny zakończone i przechodzi teraz do „skarbca literatury ojczystej". „Skarbiec — to jest szumna nazwa, jednak w tym wypadku użyć jej się godzi.

Co niejednego uderza w „Nocach i dniach", — to, że autorka potrafiła nie kobietę, lecz właśnie mężczyznę uczynić swoim głównym bohaterem. Zwykle tak jest, że kobiety piszące najwięcej pisać lubią o swojej płci, zwłaszcza o sobie samych. U autorów mężczyzn jest inaczej; można przytoczyć wiele arcydzieł, napisanych przez mężczyzn, właśnie z kobietą jako główną postacią. Panie autorki rzadko się za to rewanżują. Dąbrowska jest wśród autorek pod tym względem wyjątkiem, tak jak Orzeszkowa. Takie przerzucanie się w psychikę drugiej płci wymaga wielkiej siły twórczej; a kto wie, — może i jakiegoś wyrzeczenia się siebie, objektywizmu, do jakiego nie każdy autor czy autorka są zdolni. A może bodźcem twórczym jest tutaj tylko miłość, miłość w najwyższej formie, miłość rzeźbiąca sobie w wyobraźni posąg do ukochania go? Dość, że są to sprawy tak niedocieczone choć proste, jak tajemnica rodzenia się ludzi rzeczywistych.

Drugą jeszcze zaznaczamy niezwykłość w tych „Nocach i Dniach". Pani Dąbrowska ma zapał do tworzenia i opisywania ludzi dobrych. Nie sentymentalnie dobrych, nie mazgajów, lecz dobrych z wszelkiemi przywarami ludzkiemi. Taka jest już widać jej filozofja życiowa. Zaskakuje nas coraz to innym kształtem dobroci. I tak w tym czwartym tomie, w drugiej jego części, wprowadza nieznanego nam dotąd Owruckiego, wysokiego „niebotycznego" młodzieńca, oryginała, który, będąc bogatym, sam sobie czyści ubranie i buty, aby nikogo nie fatygować; wszystkich naokoło uszczęśliwia swem szczodrem sercem; dotychczas promykami bywały tylko kobiety. Nasz pesymizm, nasz sceptycyzm wzdraga się; mówimy: nieprawdopodobne! skąd się wziął, gdzie się wychowywał taki ananas? A jednak autorka przedstawia go bardzo plastycznie i wiarogodnie. Niestety każe temu Owruckiemu rychło umrzeć, naprzekór nam, jakby za karę za nasz sceptycyzm. Doprawdy, nie porównuję pani Dąbrowskiej z Szekspirem, ale tylko u Szekspira znalazłem taką pasję wyłaniania ludzi dobrych.

Lecz wróćmy do naszego pana Bogumiła Niechcica, z którym przeżyliśmy dobrych dwadzieścia lat. Przeżyliśmy — a jednak nie znaliśmy go tak zupełnie. Dopiero w czwartym tomie odsłania się tajemnica Bogumiła; jego dusza nie była tak prosta.

Najpierw widzimy coś, co się często zdarza, ale co niekażdy w życiu rzeczywistem spostrzega: jak człowiek zacny, dobry, przez swą dzielną pracowitość i sumienność właśnie, może się uwikłać w tragedję. Nad Bogumiłem zbierają się oddawna chmury, gdyż ma on swoją namiętność, swoją przesadę. Chce z a d o b r z e. Już raz, w poprzednich tomach, złapaliśmy go na tym gorącym uczynku, że w Serbinowie budował czworaki dla czeladzi, choć właściciel wsi wcale go o to nie prosił. Panie Bogumile, pozwalasz sobie zanadto. Dla ciebie to jest przyjemność, ale dla właściciela wydatek. Masz sumienie zbyt nerwowe, litujesz się na cudzy koszt. Ale ostatecznie właściciel p. Daleniecki ten wydatek jakoś zatwierdził, cudem ci się upiekło, panie Bogumile. A teraz oto masz nowego bzika: chcesz drenować Serbinów. Drenować — to przecież inwestycja ogromna, Bóg wie, kiedy się to wróci, a tu takie czasy niepewne, wojna za pasem, rola może poczekać. Ale się uparłeś; ponieważ kontrakt dzierżawny zabrania ci robić inwestycyj ponad trzy tysiące, pakujesz własnych 9.000 rubli w cudzy interes. Własnych? Nie bardzo własnych, bo jako mąż i ojciec powinieneś zabezpieczyć przyszłość żonie i dzieciom. No, panie Bogumile, więc jakaż różnica między tobą a graczem w Monte Carlo, który przegrywa cudze pieniądze? Namiętność cię ponosi, namiętność do ziemi.

Lecz z drugiej strony powiemy ci też, panie Bogumile, że to się nam właśnie podoba. Mieliśmy cię za filistra, za pospolitego hreczkosieja, co to tylko ciuła grosze, aby sobie i swoim dogodzić, aby kiedyś kawałek roli własnej kupić. A ty jesteś ryzykantem, ty w swoim hreczkosiejskim spokojnym stanie masz swoje przygody, swoje marzenia, swoje szaleństwa. Drenować cudzy grunt za swoje pieniądze — to prawdziwie szlachecka fantazja, pozytywizm w kontuszu. Nie sobie służysz, ziemi służysz. A cóż ci ziemia! Do grobu jej z sobą nie zabierzesz, ona ciebie grobem okryje.

Nagle przyjeżdża na to dziedzic Serbinowa, Daleniecki, i sprzedaje Serbinów — tę ziemię drenowaną przez Bogumiła wydziera mu z pod nóg. I nie dosyć na tem, — bo nie wiedząc, że Bogumił własne pieniądze wyłożył na tę poprawę roli, wpada chciwy Daleniecki w pasję, robi swemu dzierżawcy wyrzuty, robi zeń niemal złodzieja. To jest bardzo dramatyczna scena, ta rozmowa między bezwstydnym pasorzytem a człowiekiem pracy i inicjatywy.

— Co panu strzeliło do głowy z tem drenowaniem? — pyta Daleniecki. — Do czego to było potrzebne?

— Do czego to było potrzebne? — krzyknął Niechcic.—Ja się paryskiemi perfumami nie perfumuję, tylko gnojem śmierdzę, bo się w gnoju grzebię. Ja tu jeden wiem, co tej ziemi potrzebne.

Własność i praca skaczą sobie do oczu. Nie po raz pierwszy czytamy o konflikcie między pracą a własnością, ale mało gdzie uwydatniony on jest tak przeraźliwie jasno, tak jaskrawo, tak mocno i wśród takich właśnie stosunków. To nie jest przeciwstawienie robotnika kapitaliście. Bogumił nie występuje tu w obronie swych zarobków, tylko w obronie p r a w w a r s z t a t u.

Ta rozmowa zakończona jest ze strony Niechcica wyrżnięciem księgą rachunkową o stół i trzaśnięciem drzwiami. Jedyny to raz uniósł się gniewem ten zacny człowiek, Grozi mu katastrofa, nie gospodarska, nie od pożaru lub gradu, lecz z rąk niesprawiedliwego prawa. Jest wstrząśnięty. I jak ci ludzie, którzy w niebezpieczeństwie życia błyskawicznie przebiegają pamięcią całą swą przeszłość, tak on w tej chwili rozważa całe swoje życie. Wychodzi wtedy najaw jedna z rezerw jego duszy, o której nikt dotąd nie wiedział, nawet Barbara. Obelga z ust Danienieckiego odnawia w nim stary uraz. Niegdyś w powstaniu, kiedy został schwytany, uciekł spod sądu wojennego, wrogowie schwytali go jednak znowu i bili... bili... „Potem już na wolności — tak spowiada się żonie schrypniętym głosem — długo byłem taki jakiś zdziwiony, że mnie nikt nie bije. Z tego, wiesz, zostaje coś jakby znak na duszy".

Już wiemy i rozumiemy. To w języku dzisiejszej nauki nazywa się „kompleksem gorszości". Taki był sekret życia pana Bogumiła, dopiero teraz wyjawiony Barbarze, sekret jego pokory i skromności. I ta dawna rana duszy jakby otworzyła się, gdy Daleniecki dotknął go słowem, jak to mówią do żywego.

W tej chwili jednak pani Barbara, tak skora kiedyindziej do krytykowania męża, staje na wysokości zadania swego jako żona i towarzyszka życia. „Wzięła rękę Bogumiła, przyciągnęła ją do swej piersi, a potem pocałowała". „Takich rzeczy nie trzeba rozpamiętywać. To do niczego nie prowadzi — rzekła twardo". I potem chwali Bogumiła, że Danienieckiemu świetnie na wszystko odpowiedział. „Właściwie ty byłeś górą" — powiada — „bo przecież twoja sprawa jest czysta". Barbara więc solidaryzuje się z nim i scena ta kończy się obopólnem wyznaniem miłości, rzecz doprawdy wzruszająca u tak starego małżeństwa.

Sięgając wstecz do pierwszego tomu powieści, przypomnimy sobie, że Bogumił już raz po ślubie chciał się z tego swojego wewnętrznego zmartwienia żonie wyspowiadać, lecz nigdy nie śmiał, — aż dopiero teraz.

Już wiemy o nim wszystko; katastrofa, chmury, Daleniecki spełnili swoje zadanie; więc autorka odwraca los, wpuszcza słońce napowrót. Dobrobyt Niechciców zostaje uratowany, dzięki wdaniu się wspomnianego już oryginała Owruckiego, człowieka - anioła; Bogumił idzie w górę, nawet sam staje się teraz właścicielem folwarku. Niby jest u początku nowego życia, ziściły się jego pragnienia, ma nareszcie własną ziemię, ale to mu jakoś nie wystarcza; jak nieraz nie wystarczają nam rzeczy, które przychodzą z a p ó ź n o, gdy człowiek już dojrzał i p r z e j r z a ł — przejrzał w podwójnem znaczeniu. I oto widzimy pana Bogumiła, jak po obejściu granic swej nowej posiadłości, na której chce się zagospodarować, — zmęczony, siada na kamieniu i rozmyśla. On, Bogumił, on, człowiek nieco powolny i niezaradny w myśleniu, coś przeczuwa — filozofuje!

„Coś wzbierało w nim i nabrzmiewało niby pieśń, już już mająca się rozlec melodją i słowami. Dobywał ją z mozołem, aż sformowała się w myśl jasną, niby kryształ.

— Z tym samym pługiem idąc, widzisz Boga, lub — tylko grudę ziemi. Na to samo drzewo patrząc, widzisz cud stworzenia, lub — widzisz tylko cień od skwaru, liście, owoce i budulec...

Ta myśl dźwiga się dalej ku górze i miało z niej wyniknąć, jeszcze doskonalsze odsłonięcie się t a j e m i c y ż y c i a i ś w i a t a — gdy nagle urwała się i zapadła w pustkę."

Bogumił jakoby od wysiłku tej myśli oszołomiony, na ziemi nieobecny, po chwili spostrzega, że klęczy na rudej trawie i odmawia Ojczenasz. Przełom się w nim stał, jakieś niedoszłe objawienie, lecz to objawienie jest jego szczytem i końcem. Równocześnie bowiem nawiedza go przełom fizjologiczny: lewe płuco, przebite bagnetem w czasie powstania styczniowego, daje znać o sobie i Bogumił w osiem dni potem umiera na zapalenie płuc. Poprostu zaziębił się na ziemi, na której klęczał. To jest naturalnie a jednak jakoś także nadnaturalne, taksamo, jak drzewo jest równocześnie i budulcem i „cudem stworzenia" — zależnie od tego, jak na to patrzymy. Ziemia sięgnęła po Bogumiła...

Myśl której nie mógł już ponownie uchwycić, w chwili gdy klęczał, — tę myśl możnaby wyrazić także, parafrazując ostatnie zdanie z „Puszczy jodłowej" Żeromskiego:

Ziemia jest niczyją, ziemia jest Boża.

Za tego Bogumiła od rolników, ale od prawdziwych rolników, należą się pani Dąbrowskiej wieńce i koniecznie jakaś ferma z dworkiem, a we dworku niech będzie też obraz przedstawiający Bogumiła, jak klęczy i rozmawia z ziemią.

* * *

W odczycie radjowym nie można się posługiwać subtelniejszemi odcieniami krytyki literackiej. Ocena powyższa powieść pani Dąbrowskiej jest naogół słuszna, jeżeli się przyjmie — wyznawaną także i przez nią — schopenhauerowską zasadę, że należy dzieło oceniać według jego szczytów. Oczywiście, „Noce i dnie" mają też i błędy, i niedociągnięcia i ułatwienia, — widzę je taksamo dobrze jak inni. Ale rzecz charakterystyczna, te błędy same przez się nie są interesujące, tak jak u innych pisarzy bywają; są tylko osłabieniami, ale nie wypaczeniami siły twórczej. Niejedne też zarzuty stawiane „Nocom i dniom" wynikają ze zbyt szablonowego pojmowania form literackich. Np., że zakończenie powieści, o ile dotyczy Barbary, jest nijakie, rozpływa się w jakiemś „i tak dalej". Ale to jest właśnie t. zw. forma otwarta, używana i w malarstwie. Przytem, Barbara wprawdzie nie umiera heroicznie, ale umierają najdroższe wątki jej życia, umierają w ten sposób, że cichną w zgiełku wojennym. Pod tym względem doskonała w swej rozmyślnej szarości jest likwidacja tajnych nadziei Barbary co do Toliboskiego, dziecinnych nadziei żywionych przez całe życie. Kończy się ona nawet bez rozczarowania, bez spotkania, połknięta zostaje przez pośpiech nowej fali życia — rzeczywistość wymiata ją, poprostu jak niepotrzebny już śmieć.

*) Odczyt radjowy.

Alfred Jesionowski

Śląski Skoczylas — Paweł Steller

Wybrałem się do Pawła Stellera by zrobić z nim wywiad dla Radja. Poznałem go przelotnie u Morcinka, był z wszystkich gości najbardziej cichy, najbardziej nieśmiały. Miał wtedy ze sobą wykończoną akurat „Tekę Cieszyńską" — dziesięć drzeworytów, w których artysta oddał w wspaniałym skrócie duszę Śląska: pełne wyrazu głowy góralki i górala, rzewny krajobraz wiślański („Dziechcinka") w śniegu, szczątki chwały cieszyńskich Piastowiczów zaklęte w starą wieżę piastowską. (Zamek cieszyński i zamek skoczowski), świat baśni reprezentuje „Sotonna", typy śląskie uzupełnia technicznie świetnie wykonana „Ślązaczka w stroju świątecznym", religijność ludu śląskiego ujęta jest w postaci największego Świętego śląskiego, w bł. Janie Sarkandrze i w pełnym uroku i zadumy kościółku w Bielowicku, jeden z tych kościółków drewnianych, które stanowią specyficzny czar śląskiego krajobrazu. Podawaliśmy sobie te drzeworyty z rąk do rąk w wymownem milczeniu, każdy z nas medytował także nad tem, jakby tu, w domu prywatnym, podczas przyjęcia, dowiedzieć się, czy te drzeworyty są do nabycia. Na odwagę zdobyła się wreszcie dyrektorka gimnazjum włocławskiego, p. Slósarska — i nie trwało kilku minut, teczka była rozdrapana, a artysta notował w notesie dalsze zamówienia.

Po tem spotkaniu minęło kilka miesięcy. Rozgłośnia katowicka, pragnąc ożywić dział regjonalny, zainteresowała się nietylko literatami śląskimi — ale pragnęła swym słuchaczom powiedzieć także coś o śląskich artystach. A ponieważ Steller jest ich najwybitniejszym przedstawicielem, rozpocząłem serję felietonów o artystach śląskich od niego.

Podkształciwszy się nieco na Wilderze — t. zn., zaznajomiwszy się z techniką grafiki (teoretycznie, to się chyba samo przez się rozumie), wybrałem się na Raciborską (w Katowicach), gdzie mieszka i pracuje Steller. Starałem się po drodze przypomnąć sobie takie i inne „Tinty", ale bez większego powodzenia, majaczyła mi się jakaś fluoroforta (ponoć wynalazek polski), ...i tak stanąłem przed drzwiami mieszkania Stellera. Machnąłem ręką — jakoś to będzie.

Całe mieszkanie (w nowoczesnym domu), składa się z dwóch pokoi i kuchni. Pokój mieszkalny, zarazem jadalnia i salon, jest równocześnie pracownią artysty. Ściany pełne akwarel, drzeworytów czarno - białych i barwnych, kilka pięknych portretów kredką na szarym papierze. Aha... znajomi z cieszyńskiej teki — tam portret prezydenta Mościckiego, za który Steller otrzymał swego czasu I. nagrodę na konkursie graficznym w Warszawie. Tu pyszna głowa rybaka, odznaczona przez warszawską Zachętę. Wzrok mój biega po ścianach — powraca do niektórych obrazów i drzeworytów — i tak mija chyba parę minut. Wreszcie słyszę cichy głos Stellera:

— Pozwoli pan — przedstawia mnie swej żonie.

Za chwilę czuję się w towarzystwie tych dwojga, cudownie do siebie dopasowanych ludzi, jak wśród najlepszych dawnych znajomych. Cieszyniacy (bo Steller nim jest), mają to do siebie, że potrafią niespostrzeżenie szybko wytworzyć atmosferę tak ciepłą i serdeczną, jak chyba nigdzie w Polsce — toteż życie towrzyskie, to dawne, przedwojenne życie towarzyskie, kwitnie w cieszyńskiem bez zmiany. W tej atmosferze człek zaczyna nanowo wierzyć w ludzi, ich przyjaźń i bezinteresowność, w ludzką dobroć. Byłem teraz o wywiad zupełnie spokojny: bo choć i coś głupiego powiem, choć postawię pytanie laicko - naiwne, to mi dobrotliwie wytłumaczą, o co mi chodzi.

— Ciasnota naszego mieszkania wytłumaczy panu, dlaczego się zajmuję głównie grafiką. Do tej pracy nie trzeba obszernych warsztatów, A do malowania wybieram się w Boży świat. Za nic nie zrezygnowałbym z akwareli, którą ogromnie lubię — mówi Steller.

Z kredensu, który w większej części mieści niezliczone teki studjów i gotowych prac, wydobywa artysta olbrzymią tekę akwarel. Bozycku! Jest na co patrzeć!... Przedewszystkiem mnóstwo pejzaży beskidzkich; przytulone do stoku górskiego chatki, zagubione gdzieś pośród gór rzeczki, samotne krzewy i drzewinki, tematy, któreby nazwać można „poszukiwaniem samotności". Wieje z tych akwarel cisza, spokój, pełne współczujące serce, jakaś franciszkańska dobroć bez ckliwego sentymentalizmu, bez cukierkowości — tego Steller nie znosi. Popatrzcie na jego drzeworyty, przedstawiające typy górali, górników, rybaków — ludzi ciężkiej pracy — ujrzycie i tam dostojny spokój, majestatyczną ciszę, ale ujrzycie także ślady przebytych cierpień, mozołu codziennego, siłę i wolę. To są rzeczy, które się nigdy nie opatrzą, do których nietylko wzrok ale m y ś l chętnie wraca. Wytwornością i subtelnością odznaczają się nieliczne portrety kredkowe, na szarym papierze. Zwracam na nie uwagę.

— Portret kredkowy, to moja najulubieńsza technika. W pracowni prof. Dit'e w Pradze czeskiej, cieszyły się moje portrety kredkowe największem uznaniem. Cóż, kiedy obecnie nie mam zupełnie warunków do tej pracy.

Oglądamy teraz różne teki z pracami kredkowemi, potem piórkowemi, a jest ich dużo. Steller pracował dużo w grafice użytkowej: ilustracje do podręczników szkolnych, do kalendarzy, okładki, programy i t.p. Oto widzę fotografję wykonanego na zamówienie rządu polskiego adresu dla cesarzowej japońskiej, tam adres hołdowniczy dla Ojca Św. i szereg innych podobnych prac. Nie mógłbym ich oceniać fachowo, bo się na tem nie znam, ale mi się przewaga tych prac, szczególnie piękne, delikatne ilustracje do książek i kalendarzy, bardzo podobają, zarówno spowodu oryginalnej kompozycji, jak i wykonania. Myślę o tem, że Steller, toby mi zrobił exlibris, na jaki dawno poluję. (Nie jest to broń Boże, przymówka, Panie Pawle). Pytam się o wystawy i sukcesy zagraniczne.

— Wystawiałem dużo i z dobryın naogół sukcesem w Krakowie, w Warszawie, w Katowicach i pomniejszych miastach polskich. Nadto w Zurychu, w Rzymie, dwukrotnie w Paryżu; w Marsylji, na wystawie objazdowej po Francji, i miałem, jak się to mówi, dobrą prasę „La Revue des Arts et de la Vie", umieściła zawstydzająco dobrą krytykę moich prac, tak dobrej nie doczekałem się jeszcze w Polsce.

Ciekawość moją co do odbytych studjów, zaspokaja Steller długą odpowiedzią:

— Miałem studja bardzo przerywane. Rozpocząłem przed wojną w Państwowej Szkole Przemysłowej we Lwowie. Szkołę tę ukończyłem normalnie, pod kierunkiem prof. Rozwadowskiego, Rejchmana, Kryńskiego, Rybkowskiego i innych. Potem przeniosłem się do Pragi. Wybuchła wojna, poszedłem do wojska, a po wojnie, dopiero nastąpił ciąg dalszy w Warszawie, w Państwowej Szkole Sztuk Pięknych. Drzeworytnictwo studjowałem u prof. Skoczylasa, jako innych profesorów miałem pp. Gazdowskiego, Kotarbińskiego, Sosnowskiego. Trwałe i piękne wspomnienia mam z wykładów prof. Noakowskiego. Wogóle wspominam czasy warszawskie bardzo wdzięcznie i z radością; były coprawda pełne pracy, ale dały mi dużo zadowolenia. W czasach warszawskich zapoczątkowałem zbiór zdobnictw ludowych, wędrując po regjonach, bogatych w nie — i oto w tej teczce widzi pan ich sporo. Nie miałem niestety czasu, by te zbiory uzupełniać, ale mam nadzieję, że do tego jeszcze powrócę. Po wyjściu z Warszawy wróciłem na Śląsk, tak naprawdę i na dobre, pracuję dopiero od ośmiu lat.

Trzeba przyznać, że było to ośm bardzo owocnych lat: 70 drzeworytów, więcej niż setka akwarel, sporo portretów kredkowych, setki prac piórkowych i studjów wszelkiego rodzaju, a świeżo rozpoczął prof. Steller prace nad drzeworytem barwnym, techniką japońską; właśnie leży przed nami pierwszy: kapliczka w Beskidach. Ileż uroku w tym skromnym obrazku...

Siedzę już chyba ze cztery godziny, Steller wyciąga wciąż nowe teki i teczki — czas jednak pożegnać serdecznych gospodarzy, co i wreszcie czynię. Steller odprowadza mnie jeszcze na dworzec. Rozmawiamy o rodzinie artysty, która mieszka w Wiśle, o książkach, których jest wielkim miłośnikiem (podziwiam szczególnie wielki i starannie dobrany zbiór prac z dziedziny filozofji i socjologji), mówimy o wspólnych znajomych, których mamy sporo.

O Stellerze człowieku możnaby osobny, wielki artykuł napisać, zasługuje na to w pełni ten subtelny artysta i serdeczny przyjaciel — ale to już chyba innym razem. W końcu tylko jedna uwaga pod adresem redakcji ABC.:

Czy nie byłoby to na miejscu, by w przyszłym roku, gdy znów będzie subskrypcja na drzeworyty (a nie wątpię, że będzie), uwzględniono nietylko artystów warszawskich, ale i prowincjonalnych? Pomijając fakt, że wielu artystów pracujących na prowincji, jest poziomem artystycznym równych artystom warszawskim, a niejednych nawet przewyższa — należy się to prowincji, która stanowi przecież poważny odsetek odbiorców drzeworytów. Niech Pan o nich niezapomni, Panie Stanisławie!

S A T Y R A

Z pamiętnika świętego Mikołaja

Niedawno wezwano mnie przed oblicze czynnika miarodajnego.

— Dzięki Bogu! — powiedział Pan Bóg — skończył się już martwy sezon, możesz już udać się na ziemię.

Wsiadłem więc do autożyra i spuściłem w rekordowym czasie na ziemski glob. Jako, że we wszystkiem musi być hierarchja, postanowiłem zacząć moją perjodyczną działalność od rodzin królewskich. W dzisiejszych czasach to rodziny, które najwięcej dają mi pola do popisu. Nikt nie ma tyle potomstwa i krewnych, co przeciętny król. Musi on sobie zapewnić częstą reklamę i dlatego zawsze ma bardzo dużo dzieci. Już przy urodzeniu dziecka, robi się dużo hałasu, naród ma święto, a król reklamę. To samo jest przy chrzcinach, potem przy zaręczynach, wreszcie przy małżeństwie. Młoda para znów ma dzieci i tak „da capo al fine" rody panujące mają nieustającą reklamę. Lud się cieszy, sąsiedzi zazdroszczą, gazety wszystkich krajów przepełnione są sprawozdaniami i fotografjami z dworskich uroczystości. Oto dlaczego królowie mnożą się jak króliki.

Nic więc dziwnego, że po opadnięciu na ziemię, udałem się na dwór angielski. Tyle czytałem o małżeństwie księcia Kentu i księżniczki Maryny greckiej, że postanowiłem pierwszy mój prezent wręczyć ich dziecku. Niestety spotkał mnie zawód. Zaledwie wtargnąłem do książęcych komnat, zorjentowałem się, że obecność moja jest tam przedwczesna. Musiałem natychmiast wycofać się, nie zdążywszy nawet wybąkać przeprosin.

Trzeba było kontynuować tak niefortunnie rozpoczętą działalność. Przestrzegając światowej hierachji, musiałem się udać do rezydencyj różnych prezydentów. Nie dziwcie się, że to mnie bynajmniej nie pociągało. Tak mało się o nich czyta w gazetach. Nie trzeba chyba dodawać, że i na tym terenie nie miałem pola do popisu. Nie wręczyłem żadnego prezentu. Głowy państw nie mają małych dzieci.

* * *

Kiedy już znalazłem się w Polsce, poszło mi jakoś lepiej. Dowiedziałem się o istnieniu małego bébé, które już oddawna marzy o własnej konstytucji. Jakoś dotychczas nikt biednemu maleństwu nie chciał dać takiego prezentu. Nawet rodzony dziadek. Wręczyłem więc biedactwu odpowiednią laurkę i sądzę, że niedługo wspomniane bébé ogłosi światu dumnym piskiem o tym prezencie. Myślę, że wszystko będzie dobrze, jeżeli dziadek zgodzi się na taki podarek. Jeśli nie, to będę musiał temu blisko siedmioletniemu dziecku, przynieść rózeczkę.

* * *

Na parę dni przed wilją, podczas gdy odwiedzałem warszawskie dzieci, odbywał się w stołecznej Operze koncert Karola Szymanowskiego. Skorzystałem z okazji i, włożywszy frak, udałem się na ten koncert, pragnąc poznać tutejszą elitę, która na tym koncercie miała być reprezentowana. Nie wzbudziłem specjalnej sensacji na sali, bo wszyscy wzięli mnie za profesora Zielińskiego, chociaż po polsku mówię już od dobrych kilkudziesięciu lat. Mogłem się więc dowoli przyjrzeć otoczeniu.

— Snoblesse oblige — pomyślałem sobie, widząc tłumy wyfraczonych panów i wydekoltowanych pań, którzy swemi ziewającemi z nudów minami dawali wyraźne do poznania, że z muzyką nie mają nic wspólnego. Uwagę moją zwrócił pewien oficer, który podczas wykonywania słynnej czwartej symfonji, stał na baczność. Zaczepiłem go później i spytałem o powód tego dziwnego zachowania się.

— Panie profesorze — objaśnił mnie oficer — okazało się, że to pomyłka. Poprostu coś mi się pomieszało. Myślałem, że Szymanowski napisał p i e r w s z ą symfonję, a podczas koncertu grali c z w a r t ą brygadę...

* * *

Dowiedziałem się od tubylców, że niedawno na łamach prasy tutejszej dziwnie zwanej sanacyjną, toczyła się polemika między dwoma publicystami rządowymi o biciu dzieci. Jeden gwałtownie wystąpił przeciwko takim metodom, podczas gdy drugi zaczął biadać, że w Polsce za mało jest tężyzny i spartańskiej odporności, czem chciał dać do zrozumienia, że właściwie mało biją. Jako spec od dzeci, chciałem zanieść książeczkę synkowi publicysty broniącego dziecięcej skóry, a rózeczkę pociesze publicysty surowego. Okazało się, niestety, że obaj nie mają dzieci!

Najbardziej mnie zmartwiły dzieci warszawskiej ulicy. Idę sobie, przyjaciel dzieci, alejami, za mną wlecze się taksówka pełna podarków, które zamierzałem rozdać, aż tu przyczepia się do mnie dwóch kilkoletnich uliczników, wołając:

— Dyrektorze kochany! Dyrektor da parę groszy!... Taki głodny jestem!... Na Ligę Obrony Żołądka!... Królu złoty... Straszna rewolucja w brzuchu!...

Nic nie dałem, bo nie miałem monety obiegowej.

* * *

Wigilję spędziłem w gronie staropolskiej rodziny państwa Obersonów. Niepostrzeżony ukryłem się za jakimś arrasem, czy gobelinem i stamtąd obserwowałem tradycyjne obrzędy. Początku cała rodzina znajdowała się na balkonie. Wypatrywano już od południa pierwszej gwiazdki. Wreszcie koło godziny czwartej pani Obersonowa krzyknęła:

— Gwiazdeczka zajaśniała już na nieboskłonie! Walenty, proszę dać służbie hasło do rozpoczęcia wieczerzy. Czy miejsce dla zagórskiego gościa już zastawione?

— Tak jest, proszę jaśnie pani — odparł Walenty, — tylko te światełko, to nie gwiazda, ale samolot wracający na lotnisko!

— W istocie — rzekł pan Oberson — to jeszcze nie gwiazda. — Wstrzymajcie się jeszcze od pożywania darów bożych. Tradycji w moim domu musi dziać się zadość!

— Ale teraz — zawołał ktoś z rodziny, spostrzegając białą plamkę na niebie — już naprawdę zajaśniała gwiazda przewodnia.

— Nic nie wiadomo! — zaprotestował pan domu. — Weroniko! Proszę przynieść moją polową lunetę.

— No, widzicie!—rzekł potem z oburzeniem — to nie gwiazda, to planeta! O mały włos złamalibyśmy starodawny obyczaj.

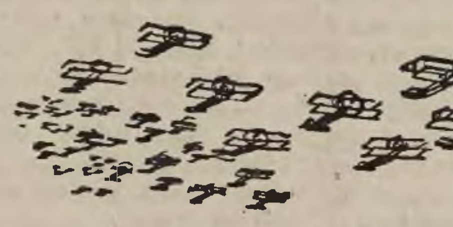
Po paru minutach stwierdzono wreszcie obecność na niebie autentycznej gwiazdy. Towarzystwo zebrało się dokoła stołu i poczęło się łamać opłatkiem. Tylko syn państwa domu, który niedawno powrócił z tradycyjnej „rybki" korporacyjnej, był w tak dobrym humorze, że zaczął się łamać z krewnemi płytami gramofonowemi, które po wigilji przygrywać miały kolendy.

Skarcono młokosa i zaczęto siadać do stołu. Dopiero wtedy wynikła tragedja. Okazało się, że siano znajduje się pod obrusem w takiej ilości, iż uniemożliwia jedzenie. Nadmiar źdźbeł dziurawił obrus i ręce uczestników, a talerze i sztućce zapadały się w miękką powierzchnię. Jeść było niesposób.

Nie wiem, jak się to skończyło, bo nie wytrzymałem dłużej. Wycofałem się dyskretnie i, jak po męczeńskich torturach, poszedłem prosto do nieba.

Przepisał
Taki - a - taki.

Kantyczka



Wróble, stróżowie, gdy nad szopą świergotają,
Paniąteczku spać nie dają,
Dziw, dziw, dziw nie dają.



Także żydom nakazano i znać dano,
By Pana witali, do szopy biegali.



Pokój ziemi ogłaszają.
Chwałę Bogu powtarzają.



Rys. Z. Jurkowski.

Cyt, cyt, cyt, wszyscy się cicho zabierajcie, Dzieciątka nie przebudzajcie.

Janusz Minkiewicz

Wołanie o zgodę

Jerzemu Paczkowskiemu.

Gdy się opłatkiem naród dzieli,
Milkną hałasy, kłótnie, spory,
Żółć całą nagle djabli wzięli,
Człek się do zgody staje skory!

Dosyć napaści, ukłuć, szpilek!
Dość się po świecie złości pęta.
Niech zgoda będzie choć na chwilę,
Choć na dzień jeden, choć na święta!

W tym dniu, ode mnie moim wrogom
Hołd się należy, wdzięczność, dług!:
Jakąbym twórczość miał ubogą,
Gdyby bez przywar był mój wróg!

Z tych wrogów żyłem w ciągu roku,
Więc dziś się stanę dla nich miękki,
Przestanę psioczyć, dam im spokój
I prześlę słowa im podzięki...

Szczególnie moje wrogie trio,
Co zawsze daje dobry temat,
Okrzykiem uczczę: „Niechaj żyją
Bandrowski i z Krzywicką Hemar!"

I za przykładem idąc naszym
Niech inni uczczą się toastem,
Niech z KAPem zgodzi się Ułaszyn,
Niech Jaracz się pogodzi z ZASPem!

Niech Stroński z Matuszewskim chodzi
I niech przeproszą się z patosem,
Niech Mirjam z Pinim się pogodzi,
A Norwid... z swoim smutnym losem!

I zaraz niech się wszystko utnie,
Bo długo tak nie może być.
I niech się znowu zaczną kłótnie,
Bo przecież p o c o ś trzeba żyć!

Zygmunt Jurkowski

Jak powstaje komunikat

W drzwiach stanął jegomość o nalanej twarzy i odchrząknąwszy, aby zwrócić na siebie uwagę, rzekł:

— Serwus stary!

— Heil! — Odpowiedział żartobliwie gospodarz, który siedząc przed lusterkiem, trudnił się właśnie przystrzyganiem swego płowego wąsika.

Schowawszy nożyczki do bocznej kieszeni, odstawił lusterko i zagadnął:

— Co słychać?

— Nic, „lipa" — odrzekł przybysz.

— Jak się czujesz?

— Nieszczególnie, wyobraź sobie, że w naszym klubie podle karmią, strułem się jakiemś paskudztwem i wątroba mnie uwiera.

— To głupstwo.

— Niebardzo, bo w związku z tem wytworzyła się obstrukcja.

— Masz więc te oto pigułki, zażywaj po jedzeniu, jak ręką odjął — rzekł gospodarz wręczając gościowi małe pudełeczko.

— Merçi, a co u ciebie?

— Równie źle, dostałem zawrotów głowy, wystaw sobie, że zarząd Lunaparku zaprosił mnie na uruchomienie nowej djabelskiej kolejki i musiałem załatwić cały ceremonjał począwszy od przecięcia wstęgi, a skończywszy na karkołomnej jeździe, no i stąd zawroty—to mówiąc wydobył z kieszeni nożyczki — 185 razy przecinałem wstęgę — dodał znużonym głosem — toteż na wszelki wypadek zawsze je noszę przy sobie.

— No a co słychać pozatem, jak tam nasze sprawy?

— Eh! — mruknął zniechęcony gospodarz machnąwszy ręką.

— Eh! — powtórzył za nim jegomość o nalanej twarzy, poczem zasępił się, podumał dłuższą chwilę i rzekł wstając:

— No to serwus!

— Heil! — pożegnał go żartobliwie gospodarz i ustawiwszy przed sobą lusterko, zabrał się znów do przycinania swego płowego wąsika.

— — — — — —

Nazajutrz ukazał się w prasie następujący komunikat oficjalny: „W dniu wczorajszym w godzinach popołudniowych p. prezes B. Z. D. R. pułkownik Szczęk - Cznabel, złożył wizytę oficjalną ministrowi P. R. i O. K. prof. Kowalskiemu. W krótkiej rozmowie obaj dygnitarze omówili szereg palących zagadnień dotyczących zamierzonych nowych inwestycyj, restrykcyj, dyskontynuacyj i retroinspekcyj. Po skończonej konferencji p. prezes B. Z. D. R. opuścił prywatne apartamenta ministra P. R. i O. K. żegnany uroczyście przez straż honorową. Rozmowa miała charakter ściśle poufny".